№ 11 Warszawa, dnia 1 (13) Marca roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztowa zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Podróż do kraju Cyganów.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Dalszy ciąg).

W obrazie Dunaju Tissot skreślił jednym rzutem pióra historyczną przeszłość Węgier. Od tej wielkiej arteryi skupiającej w sobie główne ognisko życia, odbiega on swobodnie tu i tam, przesuwa przed nami cały szereg szkiców, uwydatniających madziarskie społeczeństwo. Z tym śmiałym przewodnikiem, puśćmy się na *pusztę*, zkąd poprowadzi nas na jarmark do miasteczka Nagy-Atał.

Za przybyciem do Węgier od strony Kroacyi podróżnik nasz spotyka na drodze żelaznej, gościnnego Madiara, któremu był listownie zalecony. To pan L... administrator rozległych dóbr hrabiego Sina, jednego z najbogatszych magnatów węgierskich. Zniewolony gorącem naleganiem, Tissot przyrzekł zabawić u niego dni kilka. Zobaczymy jak maluje widok *Puszty*.

„Wsiadamy do kabryoletu, czwórka dzielnych koni pomyka błyskawicą. Domy, dachy, dzwonice miasteczka, znikają w oka mgnieniu. Przed nami step szeroki, niezmierzona wzrokiem płaszczyzna, morze zieleni, milczące, nieruchome, roztacza się po kres widnokręgu, tonąc we mgle sinej. Pola falują dojrzałym kłosem; rozrzucone w bezładzie tworzą jakby złote wysepki. Nie dosłyszysz tu śpiewu ptaka, ani brzęku owadów, cisza głucha, niczem nieprzerwana!...

Ziemia czarna gdzieniegdzie ledwie wygląda z pod murawy. Koła toczą się cicho, jakby po aksamicie. Był to dla mnie świat pełen tajemnic; urok nowości porywał wyobraźnię moją w nieznane, jakby zaklęte sfery.

Nagle czerwona łuna oblewa cały zachód. Słońce szybko zbiega z widnokręgu, jak zwykle w krajach wschodnich. Pożar gaśnie, obłoki przybierają szaro błękitną barwę. Zapada noc. Księżyc ognistą kulą wzbija się coraz wyżej; gwiazdy błyszczą jak dyamenty, mleczna droga niby srebrzysty szereg połyska na tle nocy.

Wjeżdżamy między kłosiste pola: długi szereg włoskich topoli, zapowiada wieś bliską. Jakoż pojawiają się domostwa, a za niemi obszerny dwór; światło bije przez szyby. Skręcamy w dziedziniec, psy ujadają na gwałt, już jesteśmy u celu.

Gospodarz wprowadził mnie do sali gdzie czekała rodzina. Ściany jasne, sprzęty powleczone zielonym rypsem, mile wpadały w oko. Na machoniowych półkach, wśród wytwornych drobnostek, leżały fotograficzne albumy. Oznajmiono wieczerzę, przeszliśmy do sali jadalnej; podczas gdyśmy się posilali, niańka w przyległym pokoju usypiała dziecię piosenką Petoefego. Harmonijny język madziarski cudnie się zlewał z oryginalną melodyą. Oto słowa piosenki, mniej więcej wiernie przełożone.

Uśnijże mi dziecię, sen twe oczki mruży,
Twoja śliczna buzia, istny pączek róży.
Ciepły wietrzyk letni od puszty powiewa,
Buja twą kolebkę z różannego drzewa
Aniołkowie przędą rąbek tęczy w niebie,
Tkają w złotych krosnach pieluszki dla ciebie.
Gwiazdeczka upadła, i dokądże leci?
Całuje twe ustka, nad twem czołem świeci,
Śpijże mi dziecino, jak ockniesz porankiem,
Motylki barwistym otoczą cię wiankiem,
Lilijka słodziuchną powita cię wonią,
Ptaszęta na gniazdkach piosenkę zadzwonią,
I w cichą wędrówkę przez świat ten szeroki,
Stróż anioł powiedzie, chwiejące twe kroki.

Większa część nocy zbiegła na pogadance. Psy zaszczekały i otóż gotowy przedmiot do powieści o zbójcach. Najsłynniejszy z nich wszystkich należał jak mówią do magnackiej rodziny W. W młodości przechulał ojcowiznę, poczem znikł z widowni, przepadł jak kamień w wodzie. Właśnie w tych czasach imię Sobrego nieznane dotąd, poczęło krążyć z ust do ust. Z lasu Bakuny, gdzie przebywał z bandą śmiałych junaków, wybiegał raz po raz na *pusztę*, łupił zamki i dworce zamożnej szlachty.

Aż tu dnia jednego hr. W. powraca do walącego się zamku; głosi że odziedziczył wielki spadek; przywozi z sobą ogromne wory złota, pojmuje młodą żonę, odtąd ani słychać o Sobrym.

Hrabia W. przechulał znowu spadek, uciekł przed ścigającymi go dłużnikami. I znów imię Sobrego rozległo się po Węgrzech. Tak minęło lat kilka, aż nakoniec, hrabia powrócił, zapłacił długi i żył jak przystało na magnata. Gdy umarł, odkryto po nim wielkie skarby.

Tak z postawy jak z obyczajów, Sobry wyglądał po pańsku. Razu jednego napadł z drużyną zamek bogatego magnata. Zastał w nim samą tylko hrabinę. Obsadził strażą bramę i furtki, zakneblował usta sługom dworskim, poczem odwiedził panią domu.

Wprowadzony do pokoju, staje przed nią z poszanowaniem.

— Pani jesteś sama, rzecze, nie lękaj się niczego, pragniemy przekonać ją o naszej czci głębokiej.

I znów pochyla głowę.

— Ale my głodni, doda po chwili, kuchnia pani hrabiny słynie w całym komitacie; czy wolno zasiąść nam z nią do stołu:

Hrabina nie okazała trwogi, ze ślicznych opowieści, znała zbójców węgierskich.

— Pan gospodarzysz dziś w tym domu, odrzecze spokojnie, przyjmuję więc jego zaprosiny.

— Idźże co żywo, zawołała na pokojówkę, która

blada jak widmo stała przytulona do ściany, niech kucharz przygotuje smaczną i obfitą wieczerzę.

— Na dwadzieścia dwie osób, dodał Sobry.

— A niech wystąpi najświetniej; dorzuciła hrabina.

Ledwie sługa odeszła, Sobry przystępuje do pani domu.

— Przebacz hrabino, rzecze, muszę wyznać szczególną słabość moją. Zakochany jestem... w starem winie.

— Wszakże to słabość narodowa, odpowie hrabina z uśmiechem.

— Wiem, dodał Sobry, że piwnica tutejsza nie ustępuje kuchni. Czy pozwoli pani, abym jej podał rękę... zajdźmy tam, wybierzemy co będzie najlepszego.

Trudno było odmówić. Hrabina udając zupełną spokojność, zeszła do piwnicy, wsparta na ramieniu Sobrego; wybrała dziesięć zapleśniałych butelek Tokaju.

Podano wieczerzę, Sobry poprowadził hrabinę do jadalni, wniósł kilka toastów na jej zdrowie, za pomyślność domu i rodziny. Po uczcie pocałował jej rękę z uszanowaniem; skinął na druhów... odeszli; nie zginęło nic w domu, (pomijamy inne opowieści o zbójcach; pospieszmy teraz z autorem, na jarmark do pobliskiego miasta).

— O jedenastej przed południem, mówi Tissot ruszyliśmy do Nagy-Atad. Drogą szeroką na dziesięć metrów, ciągnęły niezliczone wozy, bryki, pojazdy i karykle, rozmaitego kształtu; niektóre z nich obite rogożą, wyglądały jak domki lub namioty. Takiemi to dwa tysiące lat temu, przenosili się Scyty z jednego koczowiska na drugie. Czterokonne wozy przedstawiały się malowniczo; na tym sterczy się piramida beczek i sądków, na tamtym worki pełne zboża. Pomiędzy workami siedzą grupy niewiast i dzieweczek w jaskrawym stroju. Za każdym wozem galopują konno wieśniacy, w bundach bogato wyszywanych. Inni pędzą przed sobą chmary krzykliwych gęsi, stąpających ciężko z szyją trwożliwie wyciągniętą.

Po obiedzie, obfitym i wesołym jak zwykle obiad węgierski, poszliśmy na główne jarmarczne targowisko. Jakaż tu wrzawa! jak dziwna rozmaitość typów i strojów! jak malownicze grupy ludzi i zwierząt! Rzekłbyś wielkie obozowisko ludów wędrownych, u progu Europy.

Wieśniaka węgierskiego poznasz zaraz po wielkim kapeluszu, po długich czarnych kędziorach, przy smagłej, nieco zapadłej twarzy, po sumiastych wąsach i krótkiej fajeczce jakby przyrosłej do ust, wreszcie po kożuchu zwanym *bundą* wyszywanym w barwiste wzory; kożuch ten nigdy go nie opuszcza, tak w zimie jak i w lecie, z tą rożnicą, że podczas pogody, odwraca się futrem na zewnątrz. Madziar wysmukły, rosły i krzepki jak dąb, ma wyraz twarzy otwarty, pełen wrodzonej szlachetności; oko błyszczące, łagodne i dumne zarazem, policzki kościste, nieco wystające, postawę spokojną, przypominającą typ turecki. Z powagi oblicza, z nuty głosu, poznasz w nim potomka zwycięzców. Słowak przeciwnie, stąpa nieśmiało jakby się czegoś lękał, smutny zawsze i zadumany. Otyły niemiec, w sukiennym surducie i ciężkich butach, z twarzą płaską, czerwoną, prawdziwym jest typem dorobkowicza. Tu i owdzie snują się jak widma Cyganie wołoscy, w długiej koszuli płóciennej, z czarną śpiczastą brodą, z kruczym włosem, w bujnych kędziorach spadających na ramię. Chodzą zwykle boso, z gołą głową. Rysy ich regularne, jakby wyrzeźbione biegłem dłutem, postawa spokojna, surowa, przypomina biblijne typy. Wieśniaczki madziarskie w jasnych spódniczkach, żółtych, zielonych lub czerwonych, krążą wesoło między tłumem. Odróżniają się od nich, Kolwinki z Rinya, Kiraly, ubrane całkiem biało, owinięte w długi rańtuch, słoniący im głowę i oczy.

Targowisko dzieli się na kilka osobnych części. W jednej widzimy kuchnie rozłożone pod gołem niebem. Tu w wielkim czarnym kotle, warzy się jakaś szara polewka z mięsa a raczej z kości, rodzaj zupy rumfordzkiej; obdarty chłopak, leży na ziemi, dmucha co sił w ogień pod kotłem. Drugi chłopiec, pod kierunkiem starej, przygarbionej, podpartej kijem babinki, obraca na rożnie tłustego wieprzka; inni pieką całe barany. Nieco dalej, w koło ogromnej beczki leżącej na ligarach, gromadka ludzi siedzi na ziemi obyczajem Tatarów, i popija szklankami wino. Tu i owdzie rozrzucone szałasy, z pod każdego rozlega się wrzawa, śmiech a częstokroć odgłos hulackiej pieśni.

Zwróćmy na lewo, między budy kramarskie. Tu sprzedają bundy i dolmeny z kożucha baraniego, naszywane z wierzchu w różne wzory, krasną i modrą skórą. Przed kramami rozwieszone różne części ubrania, znęcają liczną gawiedź. Na innych taśsach porozkładane buty, fajki, kapelusze, baranie czapki, chustki w jaskrawych barwach, sztuki płótna i perkaliku.

Zatrzymaliśmy się przed kramem garncarskim, forma naczyń pierwotna i szczególna. Kwiaty malowane na misach i dzbanach, takież same, jakiemi stepowe ludy Azyi, zdobią wszelkie wyroby swoje.

Przemysł miejscowy, pozostał dotąd w stanie prostym, jak w czasach kiedy Madziary koczowali po stepie. Każdy wieśniak jest tu dla siebie architektem, cieślą, stolarzem, kołodziejem: każda niewiasta przędzie len, tka płótno, wyrabia mydło i świece na domowe potrzeby. Zbytek nie zagląda jeszcze do chat wieśniaczych. Krzepki lud mało dba o wygodę nie wymyśla sobie sztucznych potrzeb.

Przedzieramy się przez cały tabor wozów, bryk, wasążków, wchodzimy pomiędzy owoce i warzywa. Sprzedażą ich zajęte szczególniej niewiasty i dziewczęta. Tassy uginają się pod ciężarem ogromnych arbuzów. Niektóre z nich na pół rozkrojone, wabią oko różową barwą. Są tu i ananasy piękne na pozór, lecz niższe od naszych pod względem woni i słodyczy. Gdzie rzuć okiem, czerwienią się pęki pieprzu tureckiego, czyli tak zwanej *papryki*, która w kuchni węgierskiej tak niezbędną odgrywa rolę.

Dalej ustawione grupami, wory pełne żyta grochu, rzepaku i kukurydzy. Jeszcze dalej w samym środku targowiska około studni, tłoczą się całe gromady bydła, stada koni, trzody owiec i wieprzów pod dozorem właściwych sobie pastuchów: są to tak zwani *Guliasy*, *Czikosy*, *Juhasy* i *Kanasze*.

Pasterze ci stanowią najcharakterystyczniejsze typy plemia madziarskiego. Budową ciała krzepką i dorodną, przypominają oni gladyatorów rzymskich. Ruchy ich nadzwyczaj swobodne; postać pańska, znać każdy od dziecka przywykł rozkazywać trzodzie swojej.

Gulias, to jest wolarz, ma cerę smagłą jak arab uwędzoną na wietrze stepowym, oczy dzikie, błyszczące, wąs gęsty, podkręcony do góry; włosy długie splecione we dwa warkocze, spadają mu na piersi. Nosi ogromny kapelusz szeroko odwinięty; czerpie nim wodę, używa go do picia. Długi płaszcz z białej wełny wyszywany czerwoną taśmą: służy mu nocą za pościel i nakrycie. Spodnie ma szerokie, zakończone u nogi frendzlą obcisnięte w górze skórzanym pasem, wyszywanym we wzory. W ręku trzyma długi kosztur z toporkami, zagania nim woły a w razie potrzeby ma i oręż na wilki. Podczas twardej zimy *Gulias* przybliża się do wiejskich osad; buduje sobie szałas; ściany wyplata z trzciny dach pokrywa choiną. Bydło zna po głosie pastucha swego, na widok obcych ucieka przerażone.

Czikos, pasterz koni, przedstawia się jeszcze oryginalniej, w butach z długiemi ostrogami, z długim biczem, upstrzonym barwistą skórą, z haftowanym kapciuchem, przytwierdzonym u piersi. Przewiesza zwykle przez ramię, wydętą skórę źrebięcia, służącą mu zamiast baryłki. Żyje wiecznie na koniu, umie też wyprawiać najzręczniejsze harce; najdzikszego źrebca, wnet pochwyci na arkan i zapanuje nad nim.

Juhas niezrównanie łagodniejszy, znać ma do czynienia z powolną trzodą owiec. Inny znów całkiem *Kanasz*, pastuch wieprzów; ten zakrawa poniekąd na bandytę. Zdziczał wśród lasu, gdzie wypasa żołędzią trzody. Wystawiony na ciągłe zetknięcia z rozbójnikami, skłania ucho na ich łudzące słowa; porzuca nieraz wieprze, idzie na zbój, smutny zawód kończy na szubienicy.

Pasterze i wieśniacy od pługa, przechadzają się swobodnie po targowisku, rozprawiają głośno, dobijają targu, witają się wzajem i żegnają. Przy drodze siedzą szeregiem żebracy, obwinięci majestatycznie łachmanami. Postać tych siwych starców, z długą brodą, nadzwyczaj piękna i okazała.

Nad wieczorem, odpocząwszy nieco, poszliśmy do wiejskiej gospody za miastem aby przypatrzyć się wesołym pląsom ludu. Gdyśmy wchodzili, cyganie uderzyli właśnie pierwszy akord *czardasza*. Wpływ gędźby magnetycznie oddziałał. Młodzież a nawet ludzie dojrzali wiekiem, dalejże odrzucać precz sakwy i sękate kosztury, każdy pochwyca w pół dziewoję, poczyna z nią wirować, zrazu powoli jakby od niechcenia, ale skrzypki podnoszą ton; zapał wzrasta, rozpląsane pary, obiegają coraz to żwawiej koło. Tancerz podnosi dziewczynę, wiruje trzymając ją w powietrzu; to puści ją z objęć na chwilę, to pochwyci uciekającą z tryumfalnym okrzykiem. I znów gędźba wolniej, w takt jej pary posuwają się po maleńku, aż tu nagle milkną skrzypki i basy, szał ogarnia tanceczników, pomkną jak wichrem gnani. Obecni przytupują, klaszczą w ręce, wykrzykują coraz to głośniej. Zgiełk, zamęt, trudny do opisania. Z oczu sypią się błyskawice, włosy jeżą w górę nad czołem, ręce wyciągają do uścisku. Znęcone wrzawą, nowe pary ukazują się we drzwiach, rzucają w kąt tabołki i dalejże pląsać za drugimi. Żebracy stoją szeregiem pod ścianą istne kuryatydy. W izbie coraz to większa ciżba.

Rzuciłem okiem na ściany, nieme świadki tej serdecznej uciechy. Jakaż tu nędza, jakaż pustka! Pułap niski podparty rzędem zakopconych belek, rzekłbyś że upadnie na głowy. Ściany uklepane z gliny pełne szpar, wklęsłe w ziemię. Stoły i stolki bez nóg, zatłuszczone, chwieją się i walą za każdym potrąceniem. W kącie izby stoi ogromny ceber z wodą, przy nim kosz pełen śmieci i wiełka miotła, w koło na gwoździach rozwieszone łachmany. Na przeciw drzwi wchodowych, za rzędem beczek, uwija się żwawo szynkarka.

Słońce zapada, czas nam wrócić do domu. Czwórka dzielnych gniadoszów raźno pomyka stepem. Wymijamy całe chmary pieszych i konnych, zostawiamy za sobą szeregi bryk i wozów. Tu i owdzie, płoną ogniska, obozują Guliasy. Pieśń ich płynie po rosie, zlana w chór z głośnym porykiem bydła. Z daleka dobiega raźniejsza piosenka Czikosów. Towarzysze moi odczuli w niej odrazu, znane piosnki Petoefiego:

Jam zrodzon na stepie, bez dachu bez chaty,
I rola dojrzałym nie dzwoni mi kłosem,
Mam pieska, konika, nie jestżem bogaty,
Na puszczy madziarskiej jam sobie Czikosem.

Na moim koniku wiatr gonię po świecie,
Na los mój z królewskim, nie zmienię się losem,
Gdy oklep wronemu dosiadam na grzbiecie,
Na puszczy Madziarskiej, jam sobie Czikosem!

Koszulkę i gunię we wzory mi szyła,
Dziewczyna, różyczka, z wijącym się włosem.
Dziś, jutro, dziewczka zaślubi mnie miła,
Na puszczy Madziarskiej, jam sobie Czikosem!

(d. c. n.)

W ubogiej izdebce poety.

Gdy księżyc odwieczną koleją,
Wśród nocy, wciąż zdąża do mety—
Jak dziwne tu rzeczy się dzieją
W ubogiej izdebce poety!

Izdebka i biedne jej sprzęty,
W czarownem na jawie widzeniu,
Zmieniają się w pałac zaklęty,
Przy bladym księżyca promieniu.

I snują się mary za marą,
Odwieczne postacie i stroje!
Jak w tańcu, wciąż para za parą,
Przez wielkie wychodzi podwoje.

To młodzi rycerze i starzy,
Królowie, hatmani, niewiasty,
I stróże ojczystych ołtarzy,
I Szwedzi, i Sasi i Piasty.

Za każdą postacią, nieznane
Lub znane, jej czynów obrazy,
Widnieją grzechami zmazane,
Lub jasne jak żywot bez skazy...

Gdy cienie pierzchają, gdy dnieje,
Gdy księżyc już doszedł do mety—
Dziwniejsza się jeszcze rzecz dzieje,
W ubogiej izdebce poety.

W gruzy się ów pałac zamienia
I dzielne w siermięgach postacie—
Dziwniejsze, lecz lepsze widzenia
Przynoszą o jutrzni szkarłacie...

Gdy słońca promienie już jawnie,
Oświetlą niebiosa, niestety!...
Znów pusto i cicho jak dawniej,
W ubogiej izdebce poety!

Henryk Kwiatkowski.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Objawiana płochość była pokrywką głębszej myśli. Pani de la Fare doznała w krótkiem swem życiu nader bolesnego zawodu. Poślubiła zostając człowieka, pokrywającego blaskiem zewnętrznym zupełną nicość moralną. Rozczarowanie było nader dotkliwe dla młodej oblubienicy, olśnionej chwilowo pozornymi przymiotami swego małżonka. Poprowadził ją do ołtarza jedynie tylko dla jej posagu, a wrócił zbyt pospiesznie nawet do dawnych miłostek przelotnych.

Obrażona nadzwyczajnie kobieta wyjechała do rodziców. W trakcie tego mąż jej z zaziębienia dostał zapalenia płuc i umarł, przerywając w sam czas rozpoczętą sprawę rozwodową.

Pani de la Fare po śmierci męża i nastąpionej wkrótce śmierci rodziców, zostawszy niezależną, zamierzyła nietylko nie wyjść za mąż, ale poprzysięgła zemstę całemu rodzajowi mężkiemu. Wszelkie wady przypisywała nieszczęsnym synom Adama, a szczególniej zupełny brak szlachetności, obłudę, brak uczucia i w każdym razie największą interesowność. W jej przekonaniu byli oni niegodni najmniejszej litości, zdwoiła więc sztucznie wrodzoną sobie zalotność, chcąc aby cierpiało wielu, za zniewagę wyrządzoną jej kiedyś przez jednego.

W trakcie tego d'Avesnes wróciwszy z długiej podróży po Europie i Afryce, wprowadzonym był do domu młodej wdówki. Odkrywszy pod lekkomyślną powierzchownością gruntowne jej przymioty, przytem zachwycony jej wdziękami i dowcipem, pokochał ją jak najszczerzej. Wedle zwyczaju pani de la Fare dostrzegłszy wzbudzone przez siebie uczucie, nie odpychała młodzieńca, zachęcała go rzuconem od czasu do czasu półsłówkiem, nie zapominając przytem o odpowiedniej grze oczami. Ośmielony tem d'Avesnes z wielkiem wzruszeniem wypowiedział jej swoją miłość, prosząc o odpowiedź stanowczą.

— Ah, ah, ah, ah, mówiła pani de la Fare wpośród wybuchów śmiechu wijąc się po kanapie, jaka wielka szkoda, że nie ma malarza, ah, ah, ah, lub fotografa. Odegrał pan wybornie wzruszenie, warto by je uwiecznić.

— Pani, rzekł obrażony d'Avesnes wstając z krzesła i biorąc za kapelusz. nie sądzę, abym zasłużył na lekceważenie, w pewnych wypadkach niewczesny żart ubliża osobie używającej podobnej broni.

Trafna odpowiedź młodzieńca powstrzymała wybuchy śmiechu bardzo niewłaściwe; pani de la Fare jednak chcąc wyjść zwycięzko z walki przeprowadzonej w odmiennych niż dawniej warunkach, zastąpiła takowe złośliwością mówiąc:

— Dotychczasowi wielbiciele moi słysząc odmowę zarzucali mi brak serca, porównywając do rozmaitych potworów rzeczywistych i urojonych. Podobne obelgi zasługiwały na karę; zwłóczyłam więc nieraz długo udzielanie odpowiedzi stanowczej, bo bawił mnie wyraz ich twarzy, gdy odbierali nareszcie najmniej spodziewaną przez nich odprawę. Pan zaczuca mi tylko niewłaściwość obejścia, chcę więc okazać grzeczność wzajemną, mówiąc odrazu, że zabiegi pana do pozyskania mej ręki i serca będą zupełnie daremnemi.

— W takim razie żegnam panią, przepraszając za wywołanie rozmowy prawdopodobnie przykrej dla stron obydwóch.

Mówiąc to d'Avesnes złożył głęboki ukłon zabierając się do wyjścia.

Pani de la Fare zdziwiła się pełnem godności postępowaniem młodzieńca. Nie uczynił on najmniejszej wzmianki ani o dawniejszych jej półsłówkach, ani o uśmiechach zdradzieckich, ani o powabnych spojrzeniach. Inni wielbiciele czynili jej z tego względu tysiączne zarzuty po większej części sprawiedliwe, a on milczał, chociaż miał prawo do więszych niż inni wymówek. Poskromił tylko objawioną przez nią chęć lekceważenia, a nie obraził jej najmniejszem słówkiem dotkliwem. Rumieniec miłości zdobiący jego twarz w chwili oświadczyn, zastąpiła śmiertelna bladość po usłyszeniu odmowy. Podobne objawy nie mogły być sztuczne, a tem samem wyznana miłość nie była obłudną. Te i podobne uwagi przeszły szybko po głowie pani de la Fare, a ponieważ przytem młodzieniec był dorodnym i nadzwyczajnie miłym w towarzystwie, uczuła więc w sercu jakiś żal niewytłomaczony i pod tym wpływem rzekła pomimowoli.

— W niedzielę wydaję bal i zapraszam pana do pierwszego kontredansa.

Wymówiła to jednak scicha ze szpuszczonemi oczami, jakby wstydząc się okazanej słabości.

Młodzieniec nie zwróciwszy jednak uwagi na powyższe objawy, udzielił najmniej spodziewaną odpowiedź.

— Zamieszczony zostałem, odrzekł, do liczby wielbicieli wyższego rzędu zaszczyconych szacunkiem pani. Chcąc zatrzymać zdobyte stanowisko, proszę o wybranie innego tancerza, życząc przytem pani szczęścia i jak najlepszego powodzenia.

Wymówiwszy to, złożył powtórny ukłon i wyszedł szybko z salonu.

— Wróci, szepnęła pani de la Fare sama do siebie, z pewnością wróci, dodała chcąc widocznie zwalczyć zrodzoną w jej umyśle wątpliwość. Pomimo jednak objawionej pewności westchnęła kilkakrotnie, a rzuciwszy przelotnie wzrokiem w lustro, jakby dla ocenienia potęgi swych wdzięków, usiadła zamyślona na fotelu. Po raz pierwszy zaguiewaną była sama na siebie, za nietrafną odpowiedź na usłyszane oświadczyny. Postanowiła dokładnie zbadać stan swego serca, i pomówić o tym przedmiocie z d'Avesnem, z konieczną w takim razie powagą.

Nadzieje jej jednak nie były spełnione, bo d'Avesnes nietylko nie przybył na bal, ale nadto bez pożegnania wyjechał za granicę. Jakby pod wpływem gniewu pani de la Fare rozwinęła większą niż kiedykolwiek zalotność, zwiększając coraz bardziej gromady swoich wielbicieli. Wśród jednak najbardziej szalonej zabawy, niespodzianie ogarniał ją smutek niewytłomaczony, a w takim razie znajdowała jedyną ulgę, przeglądając ryciny narysowane w jej albumie, ręką nieobecnego młodzieńca.

Z czasem dziwna tęsknota znacznie zmniejszyła się, lubiła jednak często rozmawiać o niewdzięczniku, chociaż ten wróciwszy z podróży nie pospieszył do niej z odwiedzinami. Nie chciała uczynić pierwszego kroku, duma jej na to nie pozwalała, zresztą z zupełnem przekonaniem oczekiwała na zaczepkę ze strony d'Avesna nie przypuszczając ani na chwilę, aby ich stosunek wzajemny miał być przerwany raz na zawsze.

W trakcie tego Chevalier olśniony przyznanem mu podwójnem dygnitarstwem, tem zaszczytniejszem bo wypływającem z wolnych wyborów, powziął szalony zamiar poślubienia pani de la Fare. Liczył on w tej mierze na posiadane urzędy jako poświadczające jego wartość moralną; a przytem na okazałą powierzchowność bo porównywano go zazwyczaj do Apolla belwederskiego. Wprawdzie właściwa mu piękność jako oparta jedynie na kształtach zewnętrznych była martwą; z twarzy jego nie świeciła żadna myśl wyższa, w postawie jego nie było szlachetności, pan Chevalier jednak zadowolony nadzwyczajnie sam z siebie, nadęty był jak paw, skoro osoby nie mające wyobrażenia o wyższego rodzaju warunkach estetycznych, podziwiały jego powierzchowność.

Wiek wprawdzie był trochę nieodpowiedni, ale na podobną drobnostkę znalazł środek zaradczy. Oddawna kradł sobie lata. Pomiędzy metryką ja-

wną i tajemną zachodziła różnica pięciu lat; zamie rzywszy rozpocząć zaloty do pani de la Fare zdwoił różnicę, przedstawiając się jako trzydziestoletni kawaler, chociaż cztery krzyżyki z ułamkiem wyglądały z za kołnierza.

Rzeczywiście ze względu na swój wiek wyglądał młodo, a przytem dbały nadzwyczajnie o powierzchowność, przywdziewał zazwyczaj strój właściwy młodzikom, skoro miał nadzieje spędzenia wieczoru w towarzystwie młodych kobiet.

Zaraz po pierwszych odwiedzinach pani de la Fare poznała łatwo z kim ma do czynienia. Chevalier był nadzwyczajnie próżnym, zarozumiałym, a przytem nieżnośnym samochwalcą opowiadającym bez najmniejszej potrzeby o rozmaitych zwycięztwach odniesionych przez siebie nad sercami niewieściemi. Nie zapomniał również wspomnieć kilkakrotnie o sprawowanych urzędach i o posiadanym orderze, zwłaszcza że czerwona wstążeczka odbijała świetnie od czarnego fraka. Młoda wdówka po raz pierwszy miała do czynienia z podobnym oryginałem. Postanowiła więc dać mu dobrą nauczkę, i w tym celu przyjęła go początkowo nadzwyczaj grzecznie, zalotnością poprowadziła go do siódmego nieba, upatrując chwilę stosowną do rzucenia go na ziemię bez najmniejszej litości.

Wkrótce inna jeszcze okoliczność nakłoniła panią de la Fare, do oddawania czasowego pierwszeństwa tyle śmiesznemu zalotnikowi. Chevalier z tytułu swoich urzędów był w ciągłych stosunkach z merem miasteczka E... Miewał przeto wiadomości pewne o d'Avesnie, a takowe zawsze obchodziły wielce hrabinę.

Chevalier początkowo był zadziwiony pytaniami pani de la Fare dotyczącemi d'Avesna. Ośmielony miłem przyjęciem, jakie zawsze znajdował, zapytał jej wręcz: czy czasem serca swego nie oddała tyle zajmującemu ją młodzieńcowi?

— Ah! to zabawne pytanie, zawołała hrabina, śmiejąc się wesoło, gdybym kochała pana d'Avesna, to już dawno stanęłabym z nim przy ołtarzu. Skoro pokocham jakiego mężczyznę, to pierwsza rzucę mu się na szyję. Wspominam o d'Avesnie, bo równie jak inni odszedł z kwitkiem i od tego czasu nie odwiedził mnie, co oznacza niewątpliwie pewną moc charakteru.

Odpowiedzi tej niezbyt uspakajającej, towarzyszyło czułe spojrzenie i niby wypadkowe dotknięcie ręki. Chevalier stracił do reszty głowę nie wątpiąc o niezawodnem pozyskaniu marzonego szczęścia. Osoba jednak d'Avesna niepokoiła go trochę, znienawidził więc młodzieńca i dla tej przyczyny zmienił zdanie stając po stronie członków rady miejskiej przeciwnych Eugenii Laval.

Postąpienie nadzwyczajnie nierozsądne, jak to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach, zamiast posłużyć zaszkodziło p. Chevalier, i stało się głównym powodem zbliżenia dwojga młodych ludzi, rozdzielonych jedynie brakiem należytego porozumienia.

D'Avesnes po usłyszeniu odpowiedzi odmownej udzielonej w sposób nader dziwaczny, postanowił zapomnieć o niebezpiecznej syrenie. W tym celu odbył podróż, a gdy środek ten nie ze wszystkiem posłużył, chciał życiem burzliwem zniweczyć tęsknotę trapiącą jego serce. W tym właśnie czasie zaczepił Eugenię, a zawstydzony jej odpowiedzią pełną godności, odrazu zmienił sposób życia, chcąc pracą wypełnić czas będący dla niego prawdziwym udręczeniem, przywodzący jako ustawicznie na pamięć obraz zalotnej hrabiny. W tym celu postanowił w swoich dobrach postawić gospodarstwo na pierwszorzędnej stopie, rozwijając bez wyjątku wszelkie jego gałęzie.

Środek ten jako wymagający wiele pracy i wiele nauki, był nadzwyczajnie zbawiennym dając młodzieńcowi nieznany przedtem hart duszy, a tem samem wracając mu tyle cenny pokój wewnętrzny. Skoro jednak szczególny zbieg okoliczności zniewolił go do przesłania wiadomego listu do pani de la Fare, uczuł prawdziwą trwogę aby odnowiony stosunek z hrabiną nie naraził go na powtórną walkę.

Postanowił więc unikać jej widoku, a jeżeli nie odmówi mu swej pomocy, to podziękować tylko grzecznym listem za odebraną usługę.

Pani de la Fare odczytała pismo d'Avesna z nadzwyczajnem wzruszeniem, pomyliwszy się jak najzupełniej co do jego znaczenia. W jej przekonaniu sprawa dotycząca Eugenii była tylko pokrywką ułożonego zamiaru odnowienia dawnych stosunków. Strapiony kochanek wracał napowrót do jej stóp, przepraszajac pokornie za okazaną hardość.

Nie chcąc zwłóczyć tyle upragnionej zgody, hrabina bezzwłocznie uczyniła zadosyć życzeniu d'Avesna. Chevalier nie miał ani ochoty ani siły do stawienia oporu jakimkolwiekbądź zachciankom hrabiny, obiecując sobie dopiero po ślubie przyprowadzić ją do właściwej uległości. Zmiana zdania była dla niego niczem, począł więc głosem stentora dowodzić na posiedzeniach rady miejskiej o niezaprzeczonych prawach Eugenii do otrzymania wieńca cnoty.

Uradowany d'Avesnes, listem grzecznym, a nawet serdecznym podziękował hrabinie; nie pospieszył jednak z odwiedzinami, chociaż na takowe stanowczo liczyła zalotna kobieta. Zadziwiona bardzo takiem postępowaniem, nawet miłość własną uczuła dotkniętą boleśnie okazanem jej lekceważeniem.

Poczęła upatrywać jakąś tajemnicę w całem zajściu, i w tym celu odczytała z większą uwagą list dawniej odebrany. Opowiedzianą tam była z wielkiem uczuciem bolesna historya życia Eugenii Laval. Młodzieniec w każdem słowie objawiał żywe zajęcie losem biednej dziewicy, niemającej w świecie najmniejszego poparcia.

Szeroko uwydatnił jej cnotę; jej wysokie poczucie godności osobistej, jej takt postępowania wśród okoliczności złowróżbnych.

Pani de la Fare odmawiając szlachetności całemu rodzajowi męzkiemu, nie umiała w żaden sposób wytłomaczyć sobie przyczyny niespodzianego wystąpienia d'Avesna, kiedy pominął wywołaną przez siebie sposobność odnowienia z nią dawnych stosunkow.

Dla rozwiązania dręczącej ją zagadki postanowiła przedewszystkiem wpłynąć na zakochanego w niej członka rady miejskiej, aby ten raz jeszcze zmienił zdanie wywołując rozprawy nadzwyczajne celem usunięcia Eugenii z listy kandydatek. Jakkolwiek Chevalier nazywany był słusznie chorągiewką na dachu, nigdy jednak tak często nie objawiał wyobrażeń wprost sobie przeciwnych. Całe zgromadzenie dygnitarzy miejskich zrobiło na niego wielkie oczy, gdy z właściwą sobie swobodą i śmiałością zrobił na posiedzeniu odpowiedni wniosek. Jedynie tylko zręcznym zabiegom mera zawdzięczała Eugenia odłożenie całej sprawy do niedzieli, gdzie miało zapaść odpowiednie postanowienie.

D'Avesnes miał tylko dwa dni do działania. Nie mając innego środka przesłał po raz drugi list do pani de la Fare nie podejrzywając jej wcale o jakiekolwiek intrygi. Odpowiedź była krótka. Hrabina objawiła chęć osobistego pomówienia z d'Avesnem naznaczając mu spotkanie w E... w sobotę o godzinie czwartej po południu w mieszkaniu jego wuja.

Odpowiedź dwuznaczna zaniepokoiła wielce młodzieńca, już nie tylko o los Eugenii ale i o własną jego przyszłość.

Rozdział IX.

Dom obejmujący urząd miejski a zarazem mieszkanie mera, zbudowany był przy głównym placu miasteczka. Obszerną dosyć przestrzeń zamieniono na prześliczny ogródek, obejmujący ciekawe okazy roślinne, a jednocześnie i inne ozdoby najrozmaitszego rodzaju. Płaszczyznę prawie geometryczną zamieniono na dolinę przystrojoną w sztuczne wzgórza, skały, groty, piękne łączki, kląby kwiatów i drzew, rozkoszne strumyki, a nareszcie staw starannie oczyszczono, po którym łabędzie i inne ptactwo wodne pływało z widocznem zadowoleniem. Ogródek założono zaledwo przed kilku laty, pomimo tego sprowadzone z wielkim mozołem i osadzone w ziemi rozłożyste drzewa, rzucały w około cień tyle upragniony wśród skwaru letniego. W pobliżu sztachet ogrodowych urządzono szerokie chodniki przyozdobione odwiecznemi lipami, w pośród których ustawione ławki żelazne zapraszały przechodniów do wypoczynku.

Na jednej z takich ławek na przeciwko urzędu miejskiego, w miejscu odosobnionem, siedział Józef u'Avesnes pogrążony głęboko w myślach, nie zwracając najmniejszej uwagi na tłumy osób rozmaitej płci i wieku, krążące w niedalekiej odległości przed jego oczami. Staczał on zaciętą walkę wewnętrzną z samym sobą, nie umiejąc obrać właściwej drogi postępowania. Chwila obecna była niewątpliwie stanowczą w jego życiu, bo jeżeli zobaczy hrabinę, jeżeli z nią pomówi, to dawna miłość odżyje w całej potędze, narażając go na tysiączne przykrości. Sama wymiana listów poruszyła nadzwyczajnie jego serce, a cóż dopiero widok tylu wdzięków przy nieprzebranych jeszcze środkach zalotności, zdolnych olśnić każdego bez wyjątku mężczyznę. Młodzieniec bowiem miał tyle szlachetności, że po usłyszeniu szyderczej odmowy nie potępiał pięknej wdówki. Zażartowano z niego wprawdzie dotkliwie, ale wina spadała na jego łatwowierność i niedoświadczenie. Zresztą sam nieraz w dawniejszych czasach dla prostej zabawy zamącił niejedno serce niewieście, nie miał więc prawa narzekania skoro go spotkał niespodziany odwet.

Hrabina zawsze w jego pojęciu zajmowała świetne stanowisko, stojąc na niepokalanym piedestale wszelkiego dobra i piękna. Pozorna lekkość była siatką pajęczą, którą bystry jego wzrok łatwo przedzierał, odkrywając pomimo odmiennych pozorów zewnętrznych, gruntowne przymioty umysłu i serca. Nie mając jednak żadnej nadziei pozyskania jej miłości, unikał widoku niebezpiecznej kobiety, aby nie być zapisanym do szeregu zwykłych wielbicieli, pozbawionych wszelkiego uczucia osobistej godności. Zachowanie podobnego stanowiska kosztowało go wiele pracy, mozołu i cierpienia, a zdobywszy nareszcie samoistność i względny pokój, stawiał wszystko na kartę z niezawodną nadzieją przegranej.

Pod wpływem tych myśli młodzieniec począł oskarżać samego siebie o lekkomyślność, za przedsięwzięcie gry tyle niebezpiecznej. Względem Eugenii nie zaciągnął długu tej doniosłości, aby aż narażać szczęście osobiste na szwank oczywisty. Chwilowe ubliżenie opłacił przeproszeniem, pełnem uszanowania i późniejszem staraniem o uchronienie

jej od ustawicznych zaczepek młodzieży. Zresztą i w obecnym wypadku zrobił wszystko co mógł, a nawet więcej niż był powinien, zawiązując stosunek piśmienny z hrabiną.

Robienie dalszych zabiegów było prawdziwem szaleństwem bez najmniejszego obliczenia. Działając rozsądnie powinien zostawić rzecz całą zwykłemu biegowi wypadków, a sam powinien był spiesznie stanąć na stronie, przepraszając hrabinę listownie za nieprzybycie w czasie właściwym na oznaczone miejsce.

Rozum kazał działać w ten a nie w inny sposób. Młodzieniec przyznawał mu zupełną słuszność, a mimo tego nie uciekł, ale jak przykuty siedział na ławce. Jednakże nie chęć zobaczenia hrabiny była w tej mierze tajemną pobudką Pomimo silnego zarzewia pokrytego cienką warstwą popiołu spalonych uczuć, posiadał jak tego dał dowody, dostateczną siłę woli, do przezwyciężenia niewczesnych zachcianek. Obraz nieszczęśliwej Eugenii, zniewolonej pomimo swego ukształcenia i wychowania, do dźwigania brudnego kosza gałganiarki, przezwyciężył w jego sercu podszepty samolubstwa.

Czy można było porównywać jego cierpienie przeszłe, teraźniejsze a nawet przyszłe, z losem biednej dziewicy zniewolonej pomimo wysokich przymiotów umysłu i serca, podejmować pracę najniższą w towarzystwie najmniej odpowiedniem i to jedynie przez wzgląd na potrzeby osoby trzeciej. Boleść jego własna jakkolwiek dotkliwa, wyglądała jak urojenie w obec rozpostartego obrazu nędzy, pracy i poniżenia, osoby mającej wszelkie dane do zajęcia odpowiedniejszego stanowiska w społeczeństwie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, on jeden odkrył tajemnicę straszliwej walki, z upartym losem; on jeden wyciągnął ku niej dłoń pomocy i mogąc zapewnić szczęście dalszego jej żywota miałby zawrócić dopływając do brzegu. Był niejako narzędziem Opatrzności spełniając najszlachetniejsze dzieło uszczęśliwienia drugich, a tymczasem jak mazgaj prawdziwy miał zostawić ją w niedoli pod pozorem obawy narażenia swego serca na niebezpieczną próbę. Nie posiadał zatem właściwych przymiotów mężkich, nie umiejąc znaleźć puklerza, przeciwko powabnym uśmiechom i choćby najczulszym spojrzeniom kobiety.

Młodzieniec uczuł występujący na jego twarz rumieniec wstydu.

Rozbudzone uczucie godności człowieczeństwa odepchnęło z pogardą wszelkie rady słabości, zniewalając do spełnienia szlachetnego uczynku bez uwagi na wszelkie względy osobiste.

Zrobiwszy takie postanowienie uczuł zdwojoną w sobie siłę moralną i niezwykłą rzeźwość ducha. Niestraszne mu były ani jedwabne słówka hrabiny, ani zdradzieckie jej spojrzenia. Nie wątpiąc o nowych pociskach jej zalotności, przygotował wcześnie właściwą odpowiedź, aby bez obrazy pani de la Fare okazać nieużyteczność wszelkiej chęci zabawienia się jego kosztem. Nabrał takiej wiary w samego siebie, że jak wprzód lękał się tak teraz pragnął jej przybycia, będąc pewnym uniknienia wszelkiej porażki.

Najściślej sze jednak rozumowania nie potrafią obliczyć rozmaitych kaprysów niewieścich, a szczególniej kobiety tak zalotnej jaką była pani de la Fare. Dawszy zlecenie d'Avesnesowi czekania na nią w mieszkaniu jego wuja, zajechała wprost przed magazyn szwaczki celem poznania Eugenii. Zakład ten umieszczony był na drugiej stronie ogródka, młodzieniec przeto nie wiedział o przyjeździe hrabiny, bo konary rozłożystych drzew zasłoniły karetę, a turkot jej przytłumiały wesołe okrzyki biegających dzieci.

Biedna Eugenia była zgnębioną więcej niż kiedykolwiek, bo wskazówki udzielone przez niegodziwego Bussona spełnił jak najściślej Karol Pigrenier. Nieszczęśliwa sierota w obawie utracenia jedynego przyjaciela jakiego miała w Wiernym, dozwoliła nieznośnemu zalotnikowi postępować obok siebie, chociaż przez cały czas wspólnej podróży, nie wymówiła do niego ani jednego wyrazu.

Czatujący na jej przybycie Busson, obsypał ją tysiącem najniesprawiedliwszych zarzutów, niedozwoliwszy wymówić ani jednego wyrazu usprawiedliwienia, ale rozkazując najpóźniej w niedzielę wyprowadzić się z zajmowanego mieszkania. Nadomiar nieszczęścia, usłyszała jakiś śmiech szyderczy, a tajemne przeczucie jej mówiło, że stojący opodal mężczyzna nie był nikt inszy tylko Górecki.

Ciosy tak rozliczne napełniły jej serce głęboką rozpaczą. Boleść była większą niż kiedykolwiek, nie mogła nawet płakać, co dla nieszczęśliwych bywa częstokroć jedyną osłodą. Napróżno towarzyszki pracy usiłowały ją pocieszyć i rozerwać. Nie była zdolną do skupienia myśli, duch jej był w zupełnem roztrojeniu, tylko igła trzymana w ręku biegała coraz szybciej, a od czasu do czasu gwałtowne cierpienie wyryte na twarzy wskazywało dotkliwy ból serca.

Korzystając z chwilowej nieobecności przełożonej, zebrane panienki niebardzo pilnie zajęte były pracą. Niektóre z nich spoglądały często na ogród, a prawie każda z osób przechodzących, była przedmiotem żartu i śmiechów.

Nagle zawołała jedna ze stojących przy oknie.

— Patrzcie panny, Karol Pigrenier przybywa pomimo gorąca w hiszpańskim płaszczu. Co za prześliczne konie, co za wspaniały powóz. Czemu głupiec nie pomyślał o zdobyciu mego serca, z pewnością nie siedziałabym w magazynie.

— Jakoś kawalerowi miłość nie przeszkadza do nabrania ciała, rzekła druga, twarzyczka co raz pulchniejsza, oczki coraz mniejsze. Doprawdy zarosną mu kiedy jak kretowi. Wszystkie panny prócz Eugenii zaśmiały się wesoło.

— Dlaczego zajechał powozem przed magazyn? rzekła inna, czy myśli kupić stosy kapeluszy? Gdybyśmy wszystkie miały takie szczęście jak Eugenia, to nasza patronka w prędkim czasie zrobiłaby miliony.

Nowy żart wywołał nowe śmiechy.

— Ah to coś nowego, zawołała druga, Pigrenier wysiada z powozu, zabierając z sobą ogromnej wielkości pakiet. Z pewnością cukry dla nas. Niech żyje Karol Pigrenier, bo z przyjemnością zjem coś słodkiego.

— Próżne nadzieje, rzekła inna, nie idzie w kierunku naszego zakładu. Doprawdy idzie ku Wiernemu, to dla psa nie dla nas przywiózł poczęstunek. Karol Pigrenier był głupcem, jest głupcem, i umrze głupcem.

Śmiechy wesołe panien były odpowiedzią na rzucone przekleństwo.

— Nie tak to głupio jak myślisz; rzekła pierwsza, bo przekupiwszy stróża łatwiej można trafić do serca dumnej piękności

Eugenia dotychczas pracowała w milczeniu, nie słysząc wcale prowadzonej rozmowy. Wymówione dopiero nazwisko Wiernego zwróciło jej uwagę. Błędnemi oczami spojrzała na współpracownice żądając objaśnienia. W kilku słowach powiadomiona o wszystkiem, zbladła, i na jej twarzy widoczne było przerażenie.

— Tak, nie mylę się, mówiła panna stojąca przy oknie, Pigrenier przywiózł tyle mięsa jakby miał całą menażeryę do żywienia. Ot i rzucił kawałek przed nos Wiernego.

— Czy wierny zjadł rzucone mu pożywienie? zapytała Eugenia z widocznym przestrachem.

— Jeszcze nie, odpowiedziała panna, leży na miejscu, ale zaniepokojony. Zapach mięsa drażni mu nerwy.

Wstaje zwolna... wącha rzucony kawałek... ach, połknął go nie dotknąwszy nawet zębami.

— Cóż dalej? zapytała Eugenia głosem drżącym.

— Początki są tylko trudne, odpowiedziała panna, wszak prawda Klementyno? dodała złośliwie. Teraz chwyta w powietrzu rzucone mięso. Ah! jakież ma gardło, łyka ogromne kawały, jakby ostrygi ostendzkie.

Wśród ogólnego śmiechu panien spowodowanego niespodziewanym zwrotem do Klementyny zaczerwienionej jak wiśnia, Eugenia położyła prędko robotę na stole, a chcąc przywieść psa do upamiętania wyszedłszy na ganek zawołała:

— Wierny!

Karol Pigrenier uradowany z pozyskania względów psa, złożył jej nizki ukłon, na który rzecz prosta nie odpowiedziała mu najmniejszem skinieniem.

Wierny na głos swej pani z radością podskoczył ku gankowi, ale gwizdnięcie Karola i rzucony nowy kawałek mięsa, nakłoniły go do wrócenia na dawniej zajmowane miejsce.

Eugenia z głuchym jękiem upadła na krzesło i rzewne łzy oblały jej twarz. Drobnostka w porównaniu z wczorajszem zajściem wywołała jednak płacz nieutulony będący wyrazem jej głębokiej boleści i tajemnych skarg przeciwko losowi, skazującemu ją niezasłużenie na ustawiczne męczarnie. Mniemane odstępstwo psa, było tą ostatnią kroplą pozbawiającą wszelkiej odwagi i wiary, bo połkniętą zaraz po wychyleniu pełnej czary goryczy. Nieszczęśliwe okoliczności, ludzie i zwierzęta, spiknięci byli przeciwko niej, a ona nie miała ani jednej osoby w swojem przekonaniu, chcącej wyciągnąć ku niej bezinteresowną dłoń pomocy.

(d. c. n.)

TEATR U GREKÓW.

przez E. B.

(Dokończenie).

Inna Arystofanesa komedya Rycerze jest ostrą satyrą na garbarza Kleona, który po Peryklesie najwyższą przywłaszczył sobie władzę. Autor sam odegrał na przedstawieniu rolę potężnego demagoga, której się nikt podjąć nie śmiał. Lud, owa najwyższa w Atenach potęga, uosobioną jest w tej komedyi w postaci zdziecinniałego starca Demosa. Kto się więcej poniży, upodli, schlebiając dumie i kaprysom starca ten osiąga najwyższe zaszczyty i trzyma w swej dłoni losy kraju. Demostenes i Nikiasz, dwaj przywódcy w służbie Demosa ubolewając nad swym losem, są igraszką w ręku garbarza, który potrafił opanować starego niedołęgę, a łasząc mu się i schlebiając wodzi głupca na pasku, korzysta sam jeden z zasług i pracy wielu. Wykradają oni Kleonowi wyrocznie Sybillińskie, któremi durzy lud, stosując do siebie ich przepowiednie. W księdze tej wyczytują, że trzech przekupniów ma panować w Atenach, a potem przyjdzie czwarty „którego rze-

mioło krwawe pokona współzawodników i władzę obejmie. Wtem przechodzi ulicą rzeźnik, nagła myśl świta im w głowie, dlaczegóż ten rzeźnik nie ma być wybrańcem losu, przeznaczonym do panowania w Atenach? Pośpieszają więc z wyrażeniem czci i hołdu przyszłemu swemu panu; zdziwiony rzeźnik otwiera szeroko zdumione oczy, lecz w końcu skłania się ku nowym widokom i zaczyna wierzyć w swoje wielkie przeznaczenie. Dlaczegóż miałby być gorszym od tylu innych, co kolejno zawładywali sterem rządu, nie mając większych jak on zasług ani praw ku temu?

Kleon dowiedziawszy się o współzawodniku występuje do walki, po jego stronie stają prytanowie to jest senat, stronę zaś rzeźnika biorą rycerze. Rywale przesadzają się w niegodnych pochlebstwach dla Demosa, znoszą wyrocznie Sybillińskie, przystosowują je do siebie gwałtem, ale najzawziętsza walka wszczyna się przy obiedzie. Obaj znoszą kosze, pełne najróżnorodniejszych przysmaków i karmią Demosa, który chciwie rozkoszuje się wybornemi kąskami. Po skończonej uczcie, rzeźnik pokazuje swój kosz próżny, i wyzywa Kleona aby to samo uczynił. Ten wzbrania się, lecz przymuszony otwiera kosz, na dnie leżą zachowane najlepsze przysmaki. „A! łotr! woła Demos, rzeźnik zwycięża, Kleon mdleje zapewniając, że jeśli kradł, to tylko dla dobra kraju.

Komedya „Obłoki“ wymierzoną jest przeciw sofistom, a głównie przeciw Sokratesowi. Najniesłuszniej potępił w niej Arystofanes męża wielkiej cnoty i zasługi, który był chlubą i zaszczytem swojej epoki. Jakkolwiek więc komedya ta niesłuszną i fałszywą jest już w samem założeniu, to jednak tryskająca z niej wesołość, dowcip lekki i iskrzący, zarówno jak i artystycznie przeprowadzona akcya, stawiają ją w rzędzie najlepszych utworów mistrza. Ukazują się w niej typy, które i w dzisiejszym społeczeństwie nie trudno odnaleźć, jakby na potwierdzenie tej zasady, że, „nic nowego pod słońcem“ I tak np. występuje tam niejaki Strepsiades, wyraźny protoplasta Molierowskiego Georges Dandin'a. Jest to chłop wzbogacony, ożeniony z panną wysokiego rodu, który wytęża wszystkie swoje usiłowania, aby nie zdradzić się swojem pochodzeniem, i w każdym kroku, w każdej czynności okazać, że należy do wyższego towarzystwa. Nie ma jednak zupełnego szczęścia na tym świecie, i Strepsiades jakkolwiek ze wszech miar zadowolony z siebie, ma też swego mola co go gryzie, i to nie byle jakiego Tym mólem jest ni mniej ni więcej, tylko własny jego synalek Feidippides, wierutny hultaj, próżniak, utracyusz, rujnujący się na konie, na inne kosztowne i modne rozrywki, słowem typ skończony dzisiejszej „złotej młodzieży“ marnotrawiącej „z szykiem“ mienie ojcowskie. Naturalnie, młodzieniec tak dobrego jak Feidippides tonu, musi mieć długi, więc biedny Strepsiades łamie sobie głowę, jak tu tej biedzie zaradzić i wpada na oryginalny pomysł, aby posłać syna na naukę do sofistów, ponieważ słyszał że oni umieją „niesłuszność obracać w słuszność“. Kto wie? może w ten sposób uda się wykręcić wierzycielom? Lecz Feidippides nie chce słuchać rad ojca, bo liczy na pomoc „wujcia Megaklesa“.

Rad nie rad udaje się staruszek osobiście do Sokratesa, prosząc o naukę, jak gadać należy aby wierzycieli do cierpliwości i ustępstw nakłonić, i klnie się na bogi, że go hojnie za tę przysługę wynagrodzi. Lecz Sokrates, odpowiada że już ta moneta z kursu wyszła, że głupstwem jest wierzyć w Zewsa i całą czeredę bogów Olimpijskich, natomiast naucza go, że jedynemi bóstwami, w które wierzyć należy, są chmury, czyli „Obłoki“ stanowiące właśnie tytuł komedyi. Miały one zapewne oznaczać mglistość i niejasność teoryi Sokratesa. Mędrzec i skłopotany ojciec syna utracyusza nie mogą się na żaden sposób z sobą porozumieć; pierwszy usiłuje otworzyć przed swym nowym uczniem światy myśli, oderwać umysł jego od rzeczy powszednich, a natomiast przyzwyczaić do kontemplacyi i zapatrywania się na świat ze stanowiska abstrakcyjnego. Strepsiades przeciwnie ani na chwilę nie spuszcza z uwagi swych długów i słucha górnych nauk mistrza, rozmyślając ciągle jakimby sposobem przystosować je można do swego postępowania z wierzycielami. Znudzony niepojętnością ucznia wypędza go Sokrates. Lecz staruszek nie zraża się wcale tem despotycznem obejściem się mistrza, przejęty jest głęboką czcią dla jego nauk, dlatego zapewne że ich nic a nic nie rozumie, i nakłania powtórnie syna, aby się uczył filozofii. Acz niechętnie daje się namówić Feidippides i udaje się do Sokratesa. Tymczasem ojciec wykręca się jak może lichwiarzom jednemu klnie się na bogi, że mu nic nie winien; drugiemu tłomaczy z głębokiem przekonaniem, że procenta płacić się nie powinny. Wierzyciele się oburzają, lecz Strepsiades zyskuje na czasie i pociesza się nadzieją, że syn wyuczywszy się filozofii zręczniej jeszcze od niego ułożyć się z nimi potrafi. Biedak! nie przeczuwał jak gwałtowne i niespodziane uczyni synalek w nauce sofistów postępy. Oto ni mniej ni więcej, bierze się genialny Feidippides do bicia własnego ojca i dowodzi mu jeszcze, że słusznie to czyni, bo czyliż stary nie łżył przed nim Eurypidesa, ten cud mądrości?

— Alem ja cię wykarmił, wypiastował! woła ojciec.

— A czy nie biłeś mnie nigdy w dzieciństwie?

— I nieraz nawet, ale to z troskliwości o twoje dobro.

— Więc ja ci teraz tę troskliwość oddaję.

— Jeszcze takiego prawa nie było, mówi oburzony ojciec, aby dzieciom wolno było podnieść rękę na rodziców.

— Dla czegóż ja nie mam stanowić nowych praw? odpowiada niczem niezmieszany Feidippides.

— Synu! jeśli nie masz czci i miłości dla rodzica to lękaj się przynajmniej kary ojczystego Zewsa!

— Patrzcie starego grzyba! przecież Zewsa nie ma!

Nietrudno jest uchwycić sens moralny tej komedyi.

Poeta chciał napiętnować w oczach ludu Sokratesa za to, że zasadami swemi podkopuje wiarę, obala porządek społeczny i rodzinny, a w miejsce uświęconych wiekami tradycyi, wprowadza jad zepsucia i zgnilizny moralnej. Zapatrywanie się to było stronnem i namiętnem, a zatem fałszywem; potomność osądziła bezstronnie mędrca, którego dążności były zacne i szlachetne, a którego sława doszła do nas spotęgowana prześladowaniem, jakiego doznał niezasłużenie od spółczesnych.

Komedya „Żaby“ wymierzoną jest przeciw Eurypidesowi, który także nie należy do ulubieńców znakomitego komedyopisarza. Pomysł jej jest bardzo prosty: Bachus, bóg teatru, znudzony sztukami, które podług jego zdania nic nie warte, udaje się do Hadesu, aby przyprowadzić ztamtąd jednego z dawnych autorów. Występują zmarli tragicy, popisując się wierszami, lecz Eurypides nie ma szczęścia podobać się Bachusowi, palmę zwycięztwa odnoszą Eschyles i Sofokles. Lecz co nas przedewszystkiem uderza w tej komedyi, to bogactwo fantazyi i niesłychana giętkość języka, z którym poeta igra jak artysta skończony. Przybywającego do piekieł Bachusa wita chór żab siedzących w Kocycie:

„Brekerekes! koax! koax! Plemię bagien, wód stojących! witajmy go w tonach brzmiących: koax! koax! Idzie Zewsa puste dziecię! Wszak mu zawsze wtorujecie, kiedy w święto lud pijany, w gaj bagnisty na przemiany, śpiewa z nami koax! koax!

„Nas kochają muzy pieśni, nas bogowie lubią leśni. Pan nas lubi kuternoga, mamy nawet łaski boga Apollina; kiedy nucim Brekerekes, koax! koax!

„Głośno! głośniej na cześć Bacha, jak gdy w jasny dzień słoneczny, skakać przyjdzie w krąg taneczny przez zarosłą trawą wodę; jak gdy gardła nasze młode. na dnie stawku, wśród ulewy, na cześć Zewsa wznoszą śpiewy i puszczają z paszcz bąbelki... Witaj, witaj! Bachu wielki. Brekerekes, koax! koax!

W tym samym rodzaju napisana jest druga komedya „Ptaki“ wyszydzająca malkontentów z istniejącego porządku rzeczy. Tworzą oni radzi najdziwaczniejsze projekta polityczne, tak jak np. dwaj bogaterowie komedyi, obywatele ateńscy, Peistetharos (Projektowicz) i Euelpides (Złotogórski). Udają się oni do ptaków z projektem założenia samodzielnej rzeczypospolitej ptasiej. Rój skrzydlaty chwyta się chciwie niezwykłego projektu, przypomina sobie, że jest starszym od bogów, że świat cały z jajka stworzony został. Powstaje więc państwo ptasie, które wysyła poselstwo do Aten. Zwraca ono z wieścią, że wszystko co żyje „sptaszyło się w Atenach. Od tej pory nowa rzeczpospolita staje się gościnnem schronieniem dla wszystkich zapoznanych geniuszów, których współziomkowie nie potrafili ocenić w miarę ich zasług i zdolności.

Inne komedye Arystofanesa są: Osy, przeciw nadużyciom sędziów, Thesmophoriasury, wyszydzające Eurypidesa, Ekkleziazusy, satyra na kobiety, zbliżająca się nieco do Fredrowskiej: Gwałtu co się dzieje! Pijacy, Babilończycy, Plutos.

Po wojnie Peloponezkiej, z upadkiem wolności ateńskiej, upadła też komedya, a raczej przeistoczyła się, przybrała charakter bardziej podobny do komedyi nowożytnej. Minęły czasy, gdy na scenie odwzorowało się z taką swobodą życie publiczne, gdy wolno było skarykaturować publicznie nawet jednostki, budzące interes ogółu bądź stanowiskiem, bądź potęgą swej indywidualności.

W nowszej komedyi występują typy więcej ogólne a jeśli przebija od czasu do czasu jaka alluzya polityczna, to bardzo niewinna i oględna. Życie publiczne przestało być źródłem, z którego autorowie mogli czerpać tak obficie treść do swych pomysłów; zaczęto malować na scenie życie domowe, potoczne, komedya z politycznej stała się obyczajową.

Osnowę jej stanowiła zwykle intryga miłosna lub gra innych namiętności z życia prywatnego schwyconych. W tej nowszej komedyi odznaczył się najwięcej Menander z Aten, żyjący około r. 320 przed n. Chr., zwolennik nauki Epikura.

Odznacza się on twórczą fantazyą, silnie rozwiniętym zmysłem spostrzegawczym, wyborną charakterystyką. Komedye jego są pisane z poważnym celem moralnym i przeplatane wybornemi sentencyami. Rywalem jego był Filemon, który po kilkakroć odnosił nawet zwycięztwa na konkursach dramatycznych, jakkolwiek znawcy niżej go stawiają od Menandra. Po tych dwóch pisarzach komedya w Atenach coraz więcej zaczęła upadać, gdyż zamknięta w ciasnej sferze życia, powszedniego z natury rzeczy wyczerpać się wkrótce musiała.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA

Z RZYMU.

Kryzys parlamentarna.—Broszura senatora Jacini.—Bandytyzm.—Ricatto.—Wyspa Capri i tarantella.—Wicekról Egiptu w Neapolu. kosztowna jego zabawa w telegramy.—Noc przeznaczenia. — Pensya dożów Wenecyi. Jubileusz 25 letni ustanowienia dogmatu Niepokalanego poczęcia.

Parlamentarizm przechodzi obecnie we Włoszech nader ciężkie przesilenie. Lewica dzierżąca ster nawy państwowej zużyła wszystkie swoje osobistości mogące pretendować do ministerstwa, a prawica nie czuje się jeszcze na siłach do objęcia kierunku spraw państwa. Kto rządzi dziś we Włoszech?—kilku przywódców koteryi, więcej troszczących się o własny interes niż o dobro kraju, a, niestety! nie można się spodziewać aby nowe wybory wytworzyły lepsze położenie. Ani ograniczone ani powszechne głosowanie nie ustrzeże od koalicyi miernostek umiejących zręcznie wkradać się w łaski wyborców, z ujmą ludzi prawdziwie uczciwych i zdolnych, pogardzających intrygami i pochlebstwem i niezdolnych ugiąć karku tak przed królem — ludem jak przed każdym innym. Ztąd wynika że rzeczywista większość kraju zagłuszona i uciśniona jest, nie już przez mniejszość, ale przez małą jej cząstkę, wprawdzie nie tak ciemną jak niższe warstwy społeczne, ale nieposiadającą ani zdolności ani ukształcenia odpowiadającego tak wielkiemu zadaniu, a nadto skalaną cynizmem i zgangrenowaną zepsuciem. Tak więc najoświeceńsza, najrozumniejsza i najpoczciwsza część społeczeństwa, jest najzupełniej ubezwładnioną i niemal pozbawioną możności wpływania na losy kraju.

Dotknięty tak smutnem położeniem rzeczy, senator Jacini napisał znakomitą broszurę p. t. *Konserwatyści i naturalny rozwój stronnictw politycznych we Włoszech.* Diagnostyczna część pracy senatora Jacini odznacza się ścisłą dokładnością, ale nie zawiera w sobie nic pocieszającego; autor doskonale zbadał przyczyny i źródła choroby, ale nie wskazuje żadnego praktycznego lekarstwa. Jest on konserwatystą i pragnie stronnictwu temu powrócić życie i siły. Marzy o wytworzeniu stronnictwa narodowego katolickiego, któreby uznawało bezwarunkowo zjednoczenie i konstytucyą Włoch, słowem wszelkie fakta dokonane — zaprawdę, trudne zadanie.

Złe trapiące Włochy tak głębokie zapuściło korzenie iż niepodobna odpowiedzieć stanowczo, czy samo pojednanie ze Stolicą Apostolską zdołałoby dziś już ochronić Włochy od wstrząśnień społecznych, *Rassegna settimanale* słuszną robi uwagę, że od czasu jak najniższe klasy społeczeństwa, zaczęły uczęszczać do szkół, nauczyły się obliczać ze swemi siłami, i nie poprzestając na obiecywanej im wiekuistej szczęśliwości, chciałyby też zaznać jej cośkolwiek i na tym padole.

Nie ulega zaprzeczeniu. że, tak we Włoszech jak i wszędzie zresztą, ostatecznem rozwiązaniem kwestyi nazwanej „społeczną“ jest pogodzenie pojęć tegoczesnych z uczuciami religijnemi, ale przed uciekaniem się do argumentów moralnych, należy uorganizować porządek materyalny, na podstawie lepszego rozdziału bogactwa publicznego. Do religii trzeba będzie się uciec o uświęcenie nowego porządku rzeczy, ale niestety! można być pownym iż będzie on dopiero następstwem silnych wstrząśnień, którym żadna wola ludzka już zapobiedz nie zdoła.

Katastrofa jaka zaszła w Sardynii, daje miarę rozkrzewienia się bezreligijności w kraju, który od bardzo dawna odznaczał się poszanowaniem Kościoła. W końcu przeszłego miesiąca banda złożona z sześćdziesięciu ludzi, wpadła o 10 w nocy do gminy Seurgus, i otoczyła dom w którym mieszkał proboszcz i siostrzeniec jego doktór Ludwik Boï, mer owej gminy. Wybiwszy drzwi siekierami, wpadli do wnętrza i zaczęli strzelać z dubeltówek, czem przestraszeni mieszkańcy gminy nie mieli odwagi biedz ratować przedstawicieli władzy religijnej i administracyjnej, i kto wie do czegoby przyszło, gdyby odgłos strzałów nie rozległ się w sąsiednej gminie Donigola. Jeden z jej właścicieli ziemskich zrozumiał co się święci i zebrawszy ze dwudziestu uzbrojonych ludzi pod dowództwem cieśli Salwatora Fadda, pobiegli na ratunek. Posłyszawszy strzały złoczyńcy uciekli obawiając się aby przybywający nie przewyższali ich liczbą, a tak poczciwy Fadda ze swoimi towarzyszami ocalił życie doktora i żony jego, którym już rozbójnicy grozili śmiercią. Jednakże zdołali zabrać około 4.000 liwrów w gotowiźnie i kosztownościach. Nawet biednej służącej zabrali całe jej oszczędności wynoszące 60 liwrów, czego dotąd nie dopuszczali się nigdy. Szczęściem udało się władzy ująć wielu ztych zbrodniarzy, którzy ważne poczynili zeznania, mogące ułatwić pojmanie całej bandy. Widocznie bandytyzm zaczyna się poniżać i zamieniać w komunizm; dawniejsi nie okradali biednych sług i nie wydawali wspólników.

Gorzej jeszcze dzieje się w Sycylii, tej klassycznej ziemi „ricatto.“ Wiadomo że ricatto wymagało *pewnej uczciwości* ze strony nakładających ten haracz; po uiszczeniu go, obowiązani byli zwrócić jeńca całego i zdrowego, i nie bywało przykładu nie dotrzymania zobowiązań, gdyż inaczej nikt niechciałby płacić nałożonego okupu. Przed kilku tygodniami, niejaki Caltafamo, zamieszkały w Cefalu, został porwany w szczególniejszy, niezwykły sposób. Wiadomo że wielkie gościńce w Sycylii nie słyną z wielkiego bezpieczeństwa, ale od czasu jak Francya oczyściła morze Śródziemne z rozbójników barbaryjskich, każdy uważał się bezpiecznym na jego wybrzeżach. Jak się to często zdarza, Caltafamo uchodził za daleko bogatszego niż był rzeczywiście, co skłoniło jednego z nieuczciwych jego sąsiadów że porozumiawszy się z jednym z jego służących umyślił go porwać. Uskutecznienie tego zamiaru musiało go drogo kosztować, gdyż sprowadził aż z Palermo odległego o 60 kilometrów, łódź z czterema ludźmi, którzy zapłaceni, pochwycili biednego Caltafamo przechadzającego się na morskiem wybrzeżu i związawszy go i zakneblowawszy usta, popłynęli pod Palermo i wydali sprawcom zamachu. Ci związanego zanieśli do pieczary im wyłącznie znanej, na górze Pellegrino po nad cmentarzem protestanckim, tuż po za Palermo. Policya czyniła tedy daremne poszukiwania w okolicach Cefalu, nie mogąc odgadnąć że jest ukryty pod bramami stolicy wyspy, liczącej 100,000 mieszkańców. Złoczyńcy odnieśli się do rodziny żądając 300,000 liwrów „ricotto“ na co odpowiedziano że krewni nie są w stanie zapłacić więcej jak 7.000 liw. Daremnie nędznicy dowodzili nieszczęsnemu Caltafamo że tak nędzna summa nie pokryje nawet kosztów jakie ponieśli, biedaczysko odpowiadał z płaczem iż nic temu nie winien że go mieli za bogatego. że fundusze jego są bardzo ograniczone, i że żadne naleganie na rodzinę jego nic nie wskóra. bo, jak to mówią „z próżnego dzbana chyba dyabeł naleje.“ Widząc że jeniec jest szczerym, zawiadomili rodzinę żeby złożyła 8,000 liwr. a poprzestaną na tym okupie. Czyniąc zadość temu żądaniu, krewni złożyli żądaną summę wskazanym wysłańcom, ale ci zabrawszy pieniądze. umknęli nie zawiadomiwszy złoczyńców; którzy sądząc że wydano policyi ich wysłańców, odcięli głowę biednemu jeńcowi. Gdy udało się złapać jednego z tych łotrów, poczynił zeznania i wskazał grotę na Pellegrino. ale znaleziono już w niej tylko zwłoki biednej ofiary.

Jest nadzieja że uda się władzom sycylijskim pochwycić złoczyńców; bieda tylko że przysięgli za łagodnie czy za bojaźliwie sądzą sprawców „ricotto“ wiedząc że należą do niego często nawet osoby z tak zwanego „najlepszego towarzystwa.“ Większą więc budzi nadzieję wytępienia „ricotto“ przeniewierzanie się zbrodniarzy względem interesowanych i względem siebie samych, bo nie mogąc ufać nikt nie zechce płacić.

Domaganie się zaprowadzenia we Włoszech głosowania powszechnego, którego pragnie najumiarkowańsza frakcya stronnictwa konserwatystów, jest niezawodnie wynikiem szlachetnej żądzy nadania reprezentacyi klasom „miserabiles“ niemającym dotąd żadnych przedstawicieli, ale w obecnym ich stanie prawo to stałoby się w ich ręku jedynie narzędziem rewolucyjnem, zarówno niezdolnem utrzymać teraźniejszy porządek społeczny, jakoteż doprowadzić do pojednania państwa z Kościołem. W nader krótkim przeciągu lat, położenie chłopa włoskiego zrównało się ze stanowiskiem chłopów irlandzkich, z tą tylko różnicą, że klasa właścicieli z którymi znosić się musi, nie ma równie silnego poczucia praw a szczególniej obowiązków swoich, jak patrycyusze angielscy. Trzebaby koniecznie zaprowadzić środki odpowiednie irlandzkim, to jest zapewnić pracownikowi zwrot kosztu ulepszeń dokonanych na cudzym gruncie jego pracą i funduszami, i zmusić właściciela do uznania, że państwo nie zapewnia mu bezwarunkowo swobodnego posiadania jego własności: że prawo takie zasadza się na dobru ogółu a nie na prywatnym interesie, że bogactwo *rzeczywiście* wkłada obowiązki względem ogółu, a dziedziczność jego uznaną i zatwierdzoną została jedynie dla utrwalenia mienia publicznego i dobra większości, i że własność nakłada na posiadacza obowiązek zapewnienia tym którzy ją uprawiają, jeźli nie dostatku, to przynajmniej wynagrodzenia niezbędnego do zachowania zdrowia ciała i duszy.

Od tych smutnoį poważnych kwestyi, przejdźmy do ponętniejszych scen i obrazów, — a mogąż być więcej urocze nad te jakie przedstawia prześliczna wyspa Capri, dawniejsza Caprea, leżąca przy wnijściu do zatoki Neapolitańskiej.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

Takie to śmieszne niedorzeczności obsiadły i obrosły zdrowy. piękny i bogaty organizm naszej mowy i krzewią się, niby chwasty i pasożyty. dzięki hołdowaniu francuczyźnie i innym wpływom, między któremi wpływ szwargotu żydowsko-niemieckiego, dotychczas w tym kierunku prawie nieuwzględniony, nieposlednie zajmuje miejsce. Niemile więc i smutnie działa na nas wystąpienie pana A. A. K. który zamiast nawoływania do poprawy, staje pierwszy w obronie owych dziwolągów: tak więc lingwiście, podpisującemu się temi literami i pisma Ateneum, w którem wystąpił, należy się smutny zaszczyt pierwszeństwa w obronie skażenia mowy przez przodków nam przekazanej, mowy Kochanowskiego: Górnickiego i Skargi. Toż przodkowie

nasi, z XVI, XVII i początku XVIII stulecia, parsknęliby z pewnością głośnym śmiechem, gdyby do ich uszu doleciały modne dziś wyrażenia: pani Chodkiewicz, panna Zimorowicz.

Jakie są argumenta pana A. A. K? Argumentów właściwie nie ma żadnych: nasz lingwista uznaje ową krzewiącą się modę za *fakt* dokonany, w rozwoju języka zaszły (zapominając że moda ta grasuje głównie w Królestwie, a i tu masa ludu nie przyjęła jej wcale, bo lud nietylko mówi zawsze Józefowiczowa, Józefowiczówna, ale mówi nawet Zaleszczyna, Zaleszczanka, zam. Zaleska), a uznając fakt ten, przytacza usprawiedliwienia, niejako okoliczności łagodzące, a raczej stanowczo na korzyść tego kalectwa językowego, podług zdania pana A. A. K., przemawiające. Okoliczności te mają to być mianowicie: *„Coraz to większa ilość naturalizowanych u nas obcych nazwisk*, nie dających się zręcznie podług naszych form *wyginać* (naginać?); *coraz częstsze stosunki* z obcymi, *odmian takich nie znających; podwyższone towarzyskie stanowisko kobiet i pauien; wpływ ogólny zachonu*, większe wymagania *eufonii*—wszystko to złożyło się na zarzucenie *nazwiskowych* odmian, pospolicie *szorstkich i dla uszu niemiłych*.“ Zgadza się tylko pan A. A. K. pozostawić owe odmiany dla niektórych tylko nazwisk *świetniejszych* (arystokratycznych) i *gładziej brzmiących* jak np. Chodkiewiczowa—ówna, Sapieżyna, Sapieżanka. i t. p., a co do reszty, nazywanie owemi nazwiskami kobiet autor nasz uważa za *niegrzeczne*, zwłaszcza dla panien (?) i dodaje jeden jeszcze powód, że te nazwiska „są *jednobrzmienne* (!) z wyrazami pospolitemi, takiemi jak kobiecina, człowieczyna, głowina, surducina, gadanina, zalecanka, pogadanka“ i t. p. (str. 374).

Nie będę tu szczegółowo rozbierał wszystkich tych zabawnych i z żadną nauką nie mających nic wspólnego, najsłabszej krytyki niewytrzymujących twierdzeń, uczyniłem to już nieco obszerniej gdzieindziej (Tygodnik Illustrowany N 206 z roku 1879) tu zaś nie pomijam tej kwestyi dla tego tylko, że nagana wniosków i zaleceń pana A. A. K. i protest przeciwko chwalcom skażenia i kalectwa języka, powinny być jak najbardziej między publicznością za pomocą jak największej ilości pism rozpowszechniane. Przypatrzmy się więc pokrótce, do jakich skutków doprowadziłoby mowę naszą przyjęcie uwag pana A. A, K.

1. Co do znacznej liczby *naturalizowanych* nazwisk cudzoziemskich. Gdyby pomiędzy nazwiskami krajowców tutejszych przeważały już nawet liczebnie takie nazwiska jak Landau. Hirszberg. Spiro, Berlinerblau (co podobno kiedyś nastąpi, według p. Jeleńskiego za 120 lat), to i wtedy jeszcze, nawet gdyby szwargot niemiecko-hebrajski wyparł zupełnie mowę polską, resztki tej ostatniej powinnyby, zdaniem naszem, przechowywać jak można najdłużej formy czysto polskie, takie jak Zarębina, Bakałowiczowa, jako zabytek lepszych czasów. Dopóki zaś do tej ostateczności nie przyszło, a naturalizowane czyli raczej naturalizujące się (same bez pozwolenia) nazwiska obce w większej części dają się „naginać“ (Landauowa, Hirszberżyna, Hirszberżanka i t. p.), a tylko szczupła ich garstka do tego się nie nadaje (nie wiem jakieby nawet przytoczyć przykłady chyba Levittoux albo Bałabuste), nie ma więc potrzeby ażeby *większość* nazwisk polskich stosowała się do tej znacznej mniejszości.

2. Z powodu „stosunków z obcymi“ mamy, podług pana A. A. K. kaleczyć i ubożyć swą mowę. Czy to uprzystępni dla cudzoziemców nasz język— wątpimy, a zresztą wzgląd ten byłby osobliwszy i niesłychany. Bądź co bądź, według logiki pana A. A. K. przez wzgląd na niemców wypada mówić i pisać np. „pokaż ten koń.“ „daj jeść ten pies“ i t. d. Oto dokąd prowadzi pan A. A. K. naszą mowę.

(d. n.)

ZAKŁAD

Naukowo-Rękodzielniczy,

przy spółce połączonéj pracy kobiet,

pod kierownictwem Natalii Smólskiej.

Ulica Hr. Berga N. 9.

Przyjmuje uczennice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15, odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swéj zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie, i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedynczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do *Administratorki S-ki Połączonéj Pracy Kobiet* Natalli Smólskiéj i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczennic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżéj wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

Czas trwania i sposób opłaty są następujące:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2, miesięcy 6.

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo. Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6) a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczennicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry:

Krój sukien	miesięcy	3
,. bielizny	„	2
stroje	„	3
rękawicznictwo	„	6
introligatorstwo	„	6
buchalterya	„	6
kwiaty sztuczne	„	6
drzeworytnictwo	„	12
zegarmistrzowstwo	„	12
heliominiatury	„	2
retuszerya	„	6
koszykarstwo	„	6
rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
jedwabnictwo	„	6
ekonomia domowa	„	3
koronkarstwo	„	3

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po 2 godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczennice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w kwartale drugim r. b. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Przyjaciela Dzieci Nr. 9 wyszedł z druku i zawiera:

Z Paryża do Pekinu (z drzew.). — Koleje losu(wiersz).— Wulkan Gunong-Api (z drzeworytem). — Obrazki z przeszłości. — Opowiadania historyczne. W Dodatku powieściowym: Zatracony.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Февраля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 11 r. 1880.

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Nie mogą mnie dziwić podobne z twej strony podejrzenia... kto sam pomiata najświętszemi rzeczami, łatwo przypuszcza wszelkie nikczemności... Stawszy się niegodnym prawdziwej miłości... obecnie czynisz się niegodnym prawdziwej przyjaźni...

— Na uzasadnione podejrzenia odpowiadasz zniewagami!

— Czyż moja wina że prawda staje się dla ciebie obrazą.

— A czy możesz zaprzeczyć wspólnej waszej winy?

— Zaprzeczam jej w Imię Boga i popiołów matki mojej, przysięgam na duszę moją nieśmiertelną! gorąco pożądającą chwili zakończenia tej smutnej ziemskiej wędrówki, aby czysta i niewinna, odebrała w niebie nagrodę za życie bezmiernych cierpień i boleści.

— Wierzę ci, Berto... bo cię kocham!... bo pojmuję szlachetną wzniosłość twego serca... bo nieprzeparta siła pociąga mnie ku tobie... Berto, ja cię uwielbiam jak anioła zesłanego z niebios na ziemię... miej litość, nie odrzucaj miłości mojej, jeżli nie chcesz popchnąć mnie do rozpaczy! Berto, i twoja i moja przyszłość od ciebie zależy,.. w ciszy samotnych nocy zastanów się nad położeniem twojem; — nie dozwalaj aby młodość i piękność twoja marniała w jałowych walkach... Odłóżmy na inny raz dalszy ciąg tej poważnej rozmowy – dziś za nadto oboje jesteśmy rozdrażnieni aby módz rozmawiać spokojnie. Za dwadzieścia dni przypada rocznica naszego ślubu; po roku ciężkich przejść i burz, możemy jeszcze być szczęśliwi, może nawet szczęśliwsi, niż gdybyśmy rozpoczęli od razu wesołe i spokojne życie. Po burzy, powietrze jest czyściejsze, niebo jaśniejsze, uśmiech przyrody piękniejszy... Nauki doświadczenia są szkołą przyszłości—ja mam nadzieję w tobie—zastanów się rozważnie. Jesteśmy młodzi, bogaci, możemy być szczęśliwi... Pomyśl o oczekujących cię rozkoszach i radości, o świętych uczuciach i obowiązkach matki, o pieszczotach dzieci, o spokojnem życiu, otoczonem powszechnym szacunkiem. Wszystko to od ciebie zależy.

Berta chciała coś odpowiedzieć — nie chciał słuchać i wyszedł z pokoju.

Pogrążona w otchłani gorzkich myśli i boleśnych rozmyślań, opuściła głowę na piersi i długo tak siedziała nieruchoma, jakby piękny posąg zamyślenia.

XIX.

Hrabia Cipriano udał się do swego pokoju nadzwyczaj wzruszony powyższą rozmową, nie miał już prawie nadziei przejednać Berty, a był w niej coraz więcej zakochany. Bolał nad tem niewymownie że własna żona odtrąca go—a może i nienawidzi—i to właśnie wtedy gdy on pokochał ją namiętnie. Myślał z przerażeniem jak wielką okryje go to śmiesznością gdy świat dowie się że został zdradzony przez najlepszego przyjaciela, i że on, co chciał mieć jakby dwie żony, nie umiał zachować ani jednej. Nie mógł jednak uwierzyć stanowczo w wspólną zdradę Valentina i Berty—ale sama wątpliwość zakrwawiała mu serce, zadawała najstraszniejsze męki zazdrości. Postanowił sobie za jaką bądź cenę wyjaśnić tę tajemnicę... Ale do kogóż się tu udać aby zasięgnąć szczegółów o życiu jakie wiodła Berta, podczas długiej jego nieobecności w villi... Chyba tylko Fiorina mogłaby podchwycić tajemnice swej pani. Ta płocha dziewczyna zapewnie nie oprze się ponęcie znacznego wynagrodzenia, i chętnie opowie co tylko może wiedzieć. Postanowił więc sobie wybadać ją sekretnie, tak aby nikt o tem nie wiedział.

Wyszedł w tym celu z villi i skręcił na ścieżkę wiodącą do samotnej chatki na wzgórzu, w której zamieszkiwała dawna garderobiana.

Zastawszy drzwi otwarte, wszedł do kuchni i spostrzegł się niebawem że nieszczęsny jego zwyczaj wykonywania zamiarów bez uprzedniego zastanowienia się nad niemi, i teraz popchnął go do nieroważnego kroku. Zamiast Fioriny, Franciszek wyszedł na jego spotkanie. Hrabia, zaskoczony niespodzianie, nie wiedział jak wytłomaczyć swoje odwiedziny, i aby coś powiedzieć zapytał ogrodnika co tu robi.

— Czekam na Fiorinę, odpowiedział.

— I cóż cię do niej sprowadza?

— Cóż panu hrabiemu powiem?... nie potrafiłem tego dokazać aby przestać ją kochać.

— Czyś głowę stracił, Franciszku, aby tak stale kochać kobietę która tak niemiłosiernie zadrwiła sobie z ciebie.

— Cóż robić, panie hrabio, miłość nie rozumuje.

— Prawda, odrzekł oschle hrabia.

Potem zapytał znowu:

— A cóż robi Fiorina?

— Pracuje i płacze... a za winę swoją pokutuje i wynagradza ją zupełnie nienagannem postępowaniem.

— Więc zostałeś następcą Anglika?

— A niech mnie Bóg broni abym miał wstępować w ślady tego nędznika! biedna dziewczyna dość już i tak cierpi i płacze.

— No więc po cóż tu przychodzisz?

— Tak, odwiedzić ją... dobra dziewczyna, więc jako przyjaciel przynoszę dawnej koleżance pociechę i pomoc na jaką mnie stanie.

— Więc ty zawsze w niej jesteś zakochany, a ona, czy cię kocha?

— Nigdy jej o to nie pytałem... ale otóż i wraca z miasta, gdzie chodziła po niektóre małe sprawunki.

Hrabia się odwrócił, spojrzał na nadchodzącą i uderzyła go wielka zmiana zaszła w jej twarzy. Straciła młodocianną świeżość i wesoły uśmiech osiadły dawniej na jej koralowych ustach. Zbladła zobaczywszy hrabiego; obecność jego przypomniała jej ów pojedynek w którym o mało nie postradał życia, wprowadzony w błąd z jej winy; był tedy jej ofiarą i jej sędzią, kazał opuścić dobrą panią, wypędził ją z willi. W tej chwili uprzytomniły się w jej umyśle wszystkie przebyte cierpienia i upokorzenia.

Weszła do chaty cała drżąca; skłoniła się hrabiemu zarazem z uszanowaniem i obawą, i zdawała się równie zakłopotana jak zdziwiona temi niespodziewanemi odwiedzinami.

— Chcę z tobą pomówić, rzekł hrabia.

Franciszek powstał zabierając się do wyjścia, gdy był na progu hrabia rzekł do niego:

— Ktokolwiek bądź pytałby ci się o mnie, pamiętaj żeś mnie nie widział.

— Spełnię rozkaz pana hrabiego, odpowiedział, i wyszedł zamykając drzwi za sobą.

— Pan hrabia raczy wybaczyć że tylko prostym stołkiem służyć mu mogę, rzekła Fiorina posuwając drewniany stołek.

— Mniejsza o to, byle nikt nie słuchał co mówimy.

— Jesteśmy zupełnie sami.

— Słuchaj, Fiorino, gdybym ci nastręczył sposobność uzyskania przebaczenia za krew moją przelaną z twojej przyczyny?...

— A! choćby życie oddać za to!

— Nie przerywaj mi... gdyby od ciebie zależało oddać mi nieocenioną przysługę, którą umiałbym wynagrodzić, jeżlibyś zrobiła wyznanie szczere i zupełne... pod przysięgą... a to odnośnie do pewnego żywo bardzo obchodzącego mnie faktu...

— Niech pan hrabia pyta o co tylko zechce, a ja przysięgam na wszystko co mam najdroższego na ziemi, że powiem najszczerszą prawdę, bez wahania i wykrętów... tak pragnęłabym odpokutować za moją winę!... O jedno tylko śmiem prosić — niech pan hrabia nic nie mówi nawet o wynagrodzeniu...

— No więc powiedz mi szczerze co myślisz o stosunku hrabiny z doktorem Valentino Gabrielli.

— Przysięgam z ręką na sercu iż najmocniej jestem przekonana, że podczas mego pobytu w pałacu, doktór Gabrielli był zawsze najwierniejszym przyjacielem pana hrabiego i najlepszym, najsumienniejszym doradzcą pani hrabiny. Muszę przyznać że do licznych wad moich, łączyła się wspólna wielu garderobianom, to jest zwyczaj podsłuchiwania pode drzwiami. Otóż przysięgam że nigdy nie słyszałam ani jednego słowa któreby można było na złe tłomaczyć. Nie potrzebuję dodawać że biedna moja pani bardzo się martwiła nieobecnością pana hrabiego, i często widziałam ją płaczącą.

— Widzę że chcesz bronić swej pani.

— O! pani hrabina nie potrzebuje obrony. Prawda że była zawsze dobra i pobłażliwa; że przywiązałam się do niej i zaciągnęłam dług wdzięczności za udzielaną mi pomoc — ale czuję iż tak wiele zawiniłam względem pana hrabiego, iż zapomniała-

bym o wszystkiem byłem mogła wyznaniem prawdy choć w części okupić moją winę... Na szczęście nie potrzebuję zadawać gwałtu uczuciom moim, dla wypowiedzenia szczerze wszystkiego co widziałam i słyszałam w pałacu Castelbreno, i raz jeszcze przysięgam że mówię najczystszą prawdę.

Cipriano kilka jeszcze pytań zadał Fiorinie i zdawał się wierzyć jej odpowiedziom, poczem podziękowawszy jej upewnił ją że zapomina i przebacza jej przeszłość; i zalecił aby w każdej potrzebie śmiało udawała się do niego.

Dziękowała ze łzami wdzięczności za przebaczenie uwalniające ją od ciężkich wyrzutów sumienia i odprowadziła go do drzwi.

— No, a teraz, rzekł hrabia zatrzymując się, przyznaj się szczerze: wszystko mi się zdaje że teraz więcej myślisz o Franciszku niż o Angliku.

— Prawda, panie hrabio, odpowiedziała naiwnie, ale on nie myśli o mnie... ale taki dobry... uczciwy.. jedyny mój przyjaciel.

— Nie bardzo dowierzaj przyjaciołom, rzekł szorstko hrabia, bywają zdrajcami...

— Być może—ale w takim razie Franciszek i doktór stanowią wyjątek.

— Franciszek kocha cię zawsze... a ty?

— Nigdy mi tego nie mówi... a teraz ja nie śmiałabym mówić pierwsza.

— Dobry to człowiek, Fiorino, nieco uparty ale poczciwy...

— Ale nie zdecyduje się nigdy... ach! gdyby on jeszcze mi przebaczył... ale nie śmiem łudzić się nadzieją...

— Przebaczy ci... kto kocha przebacza... prawdziwa miłość oczyszcza jak ogień... Bądź zdrowa, Fiorino.

Hrabia powracał boczną dróżyną, zatopiony w głębokiej zadumie.

Jak daleko mógł pamięcią zasięgnąć w przeszłość, rozbierał drobiazgowo całe życie Valentina. Widział go najpierw zdolnym i rozumnym, ale skromnym i nieśmiałym młodzianem, wychowanym w rodzinie w której prawość i poczciwość były wrodzonym przymiotem; później oba udali się do uniwersytetu, i Valentino zawsze był mu wiernym przyjacielem, ale pracowity i żądny nauki, nie brał żadnego udziału w pohulankach kolegów, całkiem oddany zgłębianiu problematów życia. Następnie po świetnie zdanym egzaminie, Valentino opuścił uniwersytet z dyplomem doktora; wtedy wierzył on tylko w naukę, powodowany zgubnym sceptycyzmem unikał towarzystwa, pozostał jednak wierny uczuciom powziętym w dziecinnych latach i był pobłażliwym dla kolegów. Jako doktór wiejski, żyjący samotnie, oddawał się namiętnemu badaniu przyrody i zagrzebany w księgach zawsze poszukiwał prawdy uciekającej przed niezmordowanemi jego studyami. O ile wiedział, Valentino nigdy się nie kochał; możnaż myśleć że obecnie oddał serce prawej żonie przyjaciela... która przecież dotąd nie żyła z mężem? Mógłżeby zostać uwodzicielem cnotliwej kobiety, która nie była już wolną i oczekiwała w samotności jaki los gotuje jej przyszłość?... I zdawało mu się że podobne postępowanie nie zgadzałoby się z charakterem doktora; szczere zeznania Fioriny utwierdziły go w tem mniemaniu — niegodne poduszczenia baronowej, upadały w obec rzeczywistości... Jednakże nie był jeszcze niezłomnie przekonany—już w samych słowach Berty było coś tajemniczego... Jak miał rozumieć pewne myśli wypowiedziane podczas ostatniej ich rozmowy?... czem wytłomaczyć jej wstręt nieprzeparty?... jej niechęć do życia... i jakąś nieokreśloną tęsknotę za innym światem?...

Jeźli nieszczęściem, namiętność rozwinęła się w sercu Berty, czy da się jeszcze ją uratować?... czy posłucha głosu obowiązku i głosu natury?... i nakoniec kto wyjdzie zwycięzcą tej strasznej walki cnoty z miłością?...

Cipriano zadawał sobie wszystkie te pytania, ale nie umiał na nie odpowiedzieć. Zapragnął gorąco za jaką bądź cenę rozjaśnić dręczącą go niepewność; nie mogąc znieść jej dłużej postanowił chwycić się ostatniego środka. Mówił już otwarcie z żoną, teraz trzeba mu rozmówić się z przyjacielem. Wiedział dobrze iż może liczyć na prawość i uczciwość Valentina, nie wątpił że powie mu szczerą prawdę, i dla tego wróciwszy do pałacu, napisał zaraz kilka słów do doktora, prosząc aby odwiedził go jak najprędzej. Oddał list Franciszkowi, zalecając aby go jak najśpieszniej doręczył, i oczekiwał w swoim pokoju przyjaciela.

W godzinę potem, Valentino wszedł do hrabiego, pytając:

— Jestem... czego żądasz odemnie... czyś cierpiący?...

— Gorzej niż cierpiący bo zagraża mi śmiertelne niebezpieczeństwo, odrzekł Cipriano, a po chwili dodał:—Siadaj Valentino i słuchaj mnie uważnie. Czy w spokojnem życiu twojem doznawałeś kiedy burz i gwałtownych wstrząśnień?... Czy ty pojmujesz jak straszne bywają szalejące w nas uragany?.. Słuchaj mnie, Valentino, od lat dziecinnych uważałem cię zawsze za najlepszego mego przyjaciela, za najzacniejszego, najbezinteresowniejszego, najszlachetniejszego z ludzi!... Łatwo więc pojmiesz jak bardzo cierpieć muszę, skoro przychodzi mi wątpić o twej prawości i przyjaźni.

— Rzeczywiście, musi ci to być bardzo boleśnie, odpowiedział doktór.

— Jednak będąc przekonanym że nie byłbyś zdolny dać mi kłamliwej odpowiedzi, postanowiłem zapytać cię otwarcie.—Valentino, proszę cię, zaklinam w imie honoru i uczciwości,.. powiedz mi szczerą prawdę, bez żadnych wybiegów... Valentino, ty kochasz Bertę?

— Tak, orzekł z uniesieniem doktór, któż poznawszy mógłby jej nie kochać?... Berta zbudziła w mojem sercu wszystkie drzemiące w niem uczucia... litość nad jej cierpieniem, uwielbienie dla wielkich jej cnót, cześć dla jej godności, cześć dla czystego jej serca i wzniosłości umysłu, nakoniec miłość bezgraniczną, jako dla najpiękniejszej, najszlachetniejszej, najświętszej na świecie kobiety.

— I mówisz mi to wszystko z zimną krwią człowieka, opowiadającego jakąś rzecz naturalną człowiekowi obcemu?

— A cóż w tem upatrujesz nadnaturalnego?... czyż poznawszy i sam nie zakochałeś się w niej?

— Ależ w uniesieniu twojem zapomniałeś dwóch rzeczy... że ja jestem mężem Berty, a ty moim przyjacielem.

— Byłem i jestem przyjacielem twoim—a co do zarzutu iż zapomniałem że jesteś mężem Berty, jest on wynikiem twojej lekkomyślności i niewdzięczności. Nie jesteś i nie byłeś nigdy przenikliwym dostrzegaczem... Przypatrz mi się tylko a wyczytasz w twarzy mojej ślady moich cierpień! poznasz ile mnie kosztuje przyjaźń moja dla ciebie... Ta miłość moja ukrywana, powstrzymywana, tłumiona... wzburzyła krew moją, zwróciła ją w gwałtownych falach ku sercu, rozniecila ogień w głowie, strawiła ciało, ubieliła włosy... ale język nie wypowiedział myśli, która pozostawała zawsze zamknięta w ścisłych granicach najczystszego, najwznioślejszego uwielbienia. I nietylko w żonie szanowałem przyjaciela, ale byłem najtroskliwszym strażnikiem jego skarbu, obrońcą praw jego. Mogę więc odpowiadać ci z całą szczerością, patrzeć na ciebie z podniesionem czołem i z czystem sumieniem wyznać moje cierpienia i udręczenia...

— Ależ nieszczęsny, możesz że przypuszczać aby namiętność tak gwałtowna mogła ukryć się przed przenikliwością kochanej kobiety... chociaż usta milczą.

Na tę uwagę Valentino spuścił głowę nie odpowiadając.

— Czemu nie uciekałeś przed objawiającem się niebezpieczeństwem?

— Jakiem?

— Przed niebezpieczeństwem pokochania kobiety która nie mogła być twoją... czyż obowiązek nie nakazywał przewidywać i obawiać się następstw?

— Jakich następstw?... ja czułem tylko gwałtowną boleść rozdartej duszy—serce pękało od nadmiaru cierpień... ale nie mogłem mimo to zapomnieć ani na chwilę com winien sobie samemu.

— A gdybym nie był powrócił?

— Byłbym miłość moją uniósł do grobu... i do śmierci pozostał wiernym uczciwości i przyjaźni.

— Cóż uczynisz teraz, wiedząc że i ja kocham ją równie jak ty?

— Równie jak ja!... nie! to niepodobieństwo!... Ty nie znasz jej jeszcze... kochasz jej rzadką piękność kochasz w niej kobietę... ja uwielbiam w Bercie objaw boskości, zbyt wzniosły i niedostępny aby mogła być moją, i tylko świetlane jej promienie rozjaśniają mój umysł, odkrywając przed nim róg zasłony nieskończoności.

— Wyznania twoje dotykają mnie boleśnie ale nie dziwią wcale... Berta rzeczywiście jest zachwycająca.

Nastała chwila milczenia; przerwał ją Cipriano:

— Twoja niezłomna prawość i moc duszy godne są poszanowania... jestem ci nieskończenie wdzięczny i przyjaźń moja dla ciebie pozostanie niezachwianą — ale Valentino, nie powinieneś już widywać Berty... może już i tak za długo cię widywała, —przyjacielu, obawiam się czy i ona nie kocha ciebie...

Oczy Valentina strzeliły błyskawicą, twarz pokryła się śmiertelną bladością.

— A! gdybyś mógł widzieć jak strasznie się zmieniłeś usłyszawszy co powiedziałem!

— Cierpię okropnie, odrzekł doktór; choroba serca rozwinęła się gwałtownie i każde silniejsze wzruszenie jest dla mnie nadzwyczaj niebezpieczne —tylko nader silnemi dawkami digitalis, uspokajam nieco gwałtowne bicie serca... Cały mój organizm jest bardzo osłabiony i wstrząśnięty.

— Za nadto silną walkę staczasz z naturą... jako doktór powinieneś był przewidzieć następstwa.

— Badam cierpienia moich chorych — swojem zdrowiem nie zajmuję się zupełnie.

— A więc ja powinienem to uczynić. Trzeba abyś na przyszłość mógł wyłamać się z pod zgubnego wpływu i oddziaływania tej miłości podkopującej zdrowie, trawiącej życie twoje... Tak twoje jak Berty życie, jakoteż honor nas wszystkich nakazuje nam zerwać wszelkie z sobą stosunki... Mówiąc ci: bywaj mi zdrów na zawsze, składam hołd twej prawości, sam byłem zawsze za gwałtownym i za słabym, nie mam więc prawa powiedzieć że należało być przezorniejszym i lepiej panować nad sobą...

a przynajmniej uciekać przed niebezpieczeństwem. Ściskam serdecznie przyjazną dłoń twoją i mam nadzieję że nie uczujesz niechęci do przyjaciela który przebacza ci z serca namiętność silniejszą nad cnotę twoją... Przyznasz że mam prawo chcieć pozostać sam z kobietą którą ukochałem... która wprawdzie odpycha dziś moje uczucia, ale należy jednak do mnie na mocy prawa.

— Nie łudź się, Cipriano, powoływaniem się na prawo które zdeptałeś z pogardą. Jeżli zdołasz zyskać miłość Berty, bądź szczęśliwy, ale szanuj zawsze kobietę będącą w twej mocy — jest to rada zarazem doktora i przyjaciela. Patrz na wycbudłą i zmienioną twarz moją, niech ci ona będzie przykładem aby nie wymagać od natury nic co jest wstrętnego jej prawom... których nie można gwałcić bezkarnie... Teraz żegnam cię, Cipriano, przyjaźń moja pozostanie ci wierną do ostatniej życia chwili...

Współzawodnicy pożegnali się uściśnieniem dłoni.

Cipriano stał długo nieruchomy, rozmyślając nad wyznaniami przyjaciela, a choć straszna zazdrość szarpała jego serce, nie miał odwagi go potępiać.

Następny tydzień minął bez żadnogo wypadku: hrabia zdawał się tracić siły w ciągłej z sobą walce, Berta stawała się coraz niespokojniejsza i milcząca, więcej zamknięta w sobie.

Wielkie jej oczy zapadły głęboko, straciły swą jasną przejrzystość; delikatne sine żyłki rysowały się na policzkach, zdradzając obecnością swoją bezsenne noce. Patrząc na tę twarz zbladłą, można było czytać w niej nieuleczony smutek i tajone cierpienia.

Zbliżała się opłakana rocznica nieszczęsnego małżeństwa: hrabia który nie zaniechał zamiaru obchodzenia dnia tego jako rozpoczynającego epokę przebaczenia i szczęścia, porozsyłał liczne zaproszenia. Widząc że czas nagli a horyzont zasępia się coraz więcej, Cipriano postanowił ponownie powtórzyć żonie zapewnienie głębokiego swego przywiązania, i powierzyć układane na przyszłość zamiary.

W tym celu prosił Bertę pewnego dnia po obiedzie, aby raczyła pozwolić mu rozmówić się z nią w jej pokoju. Zawahała się zezwolić na to, ale ton mowy hrabiego dał jej poznać iż nie zniosłby spokojnie odmowy. Chcąc uniknąć sprzeczki, choć niechętnie, zgodziła się jednak na jego prośbę, stanowiąc sobie jednak że nie da się skłonić do żadnych ustępstw i przyrzeczeń, sprzecznych z jej uczuciami. Lecz gdy rozkazał garderobianej opuścić pokój i zamknął drzwi za nią, ogarnęła ją jakaś nieokreślona trwoga, jakby przeczucie jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa. Spostrzegł to hrabia, nie mógł ukryć rozdrażnienia i przykrego uczucia, stłumił je jednak niezwłocznie i prosił łagodnie aby się uspokoiła i słuchała go z ufnością.

— Wiesz dobrze, Berto, rzekł ponurym głosem, że nie byłbym zdolny postąpić wbrew twej woli, a po tylu dowodach mojej uległości i nieprzebranej cierpliwości, nieufność twoja przejmuje mnie goryczą. Takie jak dotychczasowe, nasze życie nie może trwać wiecznie, a skoro nie rozłączyliśmy się dotąd musimy żyć z sobą razem; wyznałem ci winy moje i przebaczyłaś mi... czekam tak długo aby niechęć twoja do mnie miała czas się uspokoić, ale wszystko musi mieć swój koniec. Kocham cię całą duszą, jestem mężem twoim, nie mogę przypuszczać abyś zamierzała kazać mi wzdychać całe życie. Miłość moja, choć nieograniczona, potrafi zdobyć się na cierpliwość; nie wymagam więc od ciebie miłości która nie mogła jeszcze się zrodzić. Wierzę niezachwianie w cnotę twoją i mam nadzieję że na przyszłość potrafię zasłużyć na twoje przywiązanie... Teraz o to tylko proszę abyś pozwoliła mi kochać cię .. nie odsuwała się z przerażeniem ilekroć zbliżam się do ciebie nieśmiało i z uszanowaniem, aby ci wyznać miłość moją... Płochy świat zapomniał już o smutnej przygodzie mojej aby świeższemi zająć się skandalami; każdy przyznaje że krwią zmazałem winę moją i wszyscy są przekonani że szczere pojednanie stało się epilogiem naszego rozłączenia. Dziś świat wierzy w nasze szczęście, nie nastręczajmyż mu sposobności do nowych plotek i komentarzy. Jesień zbliża się do końca, czas już opuścić villę w której i tak już zanadto długo bawiłaś—nie możemy zostawać w tej pustyni, gdy całe towarzystwo powróciło już do Medjolanu. Miejski nasz pałac jest daleko okazalszy i wygodniejszy, urządzę ci w nim godny ciebie apartament: będziesz mieć najpiękniejsze powozy i konie, jakim równych nie spotkasz na Corso. Wrócisz do świata otoczona ogólnym szacunkiem, uwielbiana od najczcigodniejszych osób. Wyjedziemy po uroczystym tu obchodzie rocznicy naszego małżeństwa... czekam twojej odpowiedzi, i mam nadzieję że będzie zgodna z życzeniem mojem.

Berta odpowiedziała spokojnie.

— Wracaj pan do miasta skoro dłuższy pobyt na wsi uznajesz niestosownym, nie mam bynajmniej zamiaru w czemśkolwiek ograniczać woli twojej, ale spodziewam się iż uznasz to zupełnie naturalnem i zgodnem z rozsądkiem, że czuję wstręt nieprzeparty na samą myśl powrotu do Medjolanu, po tylu skandalach i plotkach rozgłaszanych tam o nas. Nie chcę stać się widowiskiem dla ciekawych i próżniaków, i nie pragnę bynajmniej budzić ani litości ani uwielbienia tłumu.

— Może masz słuszność; pojmuję rzadką delikatność uczuć twoich, i zgadzam się chętnie na opóźnienie naszego powrotu do Medjolanu — ale sądzę także iż nie mieć nie będziesz przeciw wybraniu innego miejsca pobytu, czy to we Włoszech czy zagranicą. Chciej tylko wskazać mi gdzie pragniesz spędzić zimę, we Florencyi, w Neapolu, w Rzymie czy w Paryżu?

— Nic i niczego nie pragnę... i nie mam bynajmniej zamiaru podróżowania; jedź gdzie ci się podoba, a zostaw mnie w villi, abym mogła żyć samotna i spokojna.

— Pozwól sobie powiedzieć, kochana Berto, że jest to upór wszelkie przechodzący granice. Zazwyczaj dzieciom przebacza się gniewy, kobietom kaprysy—ale podobne dziwactwo wszelkie przechodzi pojęcie... Wiesz dobrze że żona powinna „wszędzie iść za mężem swoim"... nie chcę przecież zmuszać cię do zamieszkania w jakiejś niemiłej ci miejscowości, skoro daję ci do wyboru wszystkie kraje europejskie. Wybieraj, ja wszędzie pójdę za tobą. Nie mogę przypuścić abyś w zamian za gorącą chęć spełnienia wszelkich chęci twoich, zamierzała skazywać mnie na przepędzenie całej zimy w tej nudnej samotni pokrytej śniegiem, bez żadnego towarzystwa i rozrywki, i zagrzebanie się w niej żywcem jakby jaki anachoreta. Cały świat śmiałby się z tak dziwacznego kaprysu.

— Byle świat nie śmiał mi się w oczy, mało mnie obchodzi jego uznanie. Powtarzam że nie chcę bynajmniej skazywać cię na jakieś poświęcenia —jedź każdej chwili gdzie to za stosowne uznasz... ja chcę pozostać tu i pozostanę.

— Berto, nadużywasz mojej cierpliwości; nie drażń mnie tak bardzo, bo może to być niebezpiecznem dla nas obojga. Postanowiłem sobie najsilniej zachować zupełny spokój, a ty jakbyś wzięła sobie za zadanie przywieść mnie do tego abym nie był w stanie panować nad sobą... Dalej postanowiłem sobie jeszcze nie wypowiedzieć ani jednego słowa mogącego zadrasnąć twój honor, a ty jakby umyślnie popychasz mnie do ostateczności...

— I cóż to takiego mógłbyś powiedzieć, panie hrabio, co mogłoby zadrasnąć mój honor?...

— Mógłbym powiedzieć że musisz mieć jakieś ważne powody, zatrzymujące cię w tej pustyni.

— I jakież, naprzykład?... nie rozumiem...

— Nie udawaj... już sama tak nagła zmiana twarzy cię oskarża.

— Proszę tłomaczyć się jaśniej...

— Pragniesz dla tego pozostać w villi, abyś mogła widywać często... osobę która za nadto stała ci się drogą...

— O kim chcesz mówić? zapytała drżącym głosem, z błędnem spojrzeniem.

— Mówię, odpowiedział, zoliżając się ku niej z twarzą pałającą gniewem, mówię o doktorze Valentino Gabrielli.

Berta nie odpowiedziała; podniosła głowę i głuchy jęk wydarł się z jej piersi. Wzniosła w niebo rozpaczliwe spojrzenie, jakby przyzywając pomocy; włosy powstały jej na głowie, palce, skurczone siłą niewypowiedzianego bólu, wpiły się w dłoń paznogciami. Twarz, przed chwilą tak blada, szkarłatnym oblała się rumieńcem. Stała nieruchoma, jakby przykuta do miejsca.

— Berto, mówił dalej hrabia, kochasz Valentina Gabrielli, kochasz go miłością szaloną... miłością występną!.,.

— Skłamałeś, panie hrabio, zawołała Berta, podnosząc prawą rękę ku niebu, przysięgam na to! Żadna występna miłość istnieć nie może, jeźli mężczyzna przyjaźń i zaparcie siebie posuwa do bohaterstwa... Valentino to nauczył mnie zagrzebać w głębi serca najżywsze wrażenia i uczucia moje... on zawsze przypominał mi obowiązek... kazał stłumić w samym zarodzie każdą myśl mogącą choćby najlżej skazić czystość duszy... Jesteś niewdzięczny.. śmiesz posądzeniem kalać najczystsze sumienie, duszę najświętszą, zdolną wznieść przyjaźń po nad wszelkie namiętności ludzkie!...

— Ależ ty do szaleństwa kochasz tego człowieka... tego cnotliwego przyjaciela twego męża! zawołał, i chwytając ją za rękę w paroksyzmie szalonego uniesienia, z pałającym wzrokiem, krzyknął: „Wyjawże teraz prawdziwy powód twej odmowy... Ha! więc teraz rozumiesz co to jest namiętność... w tem leży moje usprawiedliwienie... i twoje także, jeźli zarówno jak ja chcesz przyznać się do winy...

— Nigdy i w niczem nie uchybiłam powinności mojej! odrzekła z powagą Berta, a nie masz żadnego prawa żądać abym zdawała rachunek z myśli moich... bo te do ciebie nie należą...

— Owszem, mam najzupełniejsze prawo znać uczucia twoje... bo jestem mężem twoim.

— Nie!... nie jesteś nim i nigdy nie będziesz!... zawołała przywiedziona do ostateczności.

— Przez niego i z jego powodu! krzyknął... ha! zapłaci mi za tę zdradę!...

I pobiegł ku drzwiom. Berta poskoczyła za nim i z nadludzką siłą chwytając go za ramię, odciągnęła od drzwi, i stając między nim a niemi, zawołała rozkazującym tonem:

— Stój!... gdzie idziesz?

— Idę zemścić się na nim... niech we krwi zmyje zbrodnię swoją!

— Ach! zawołała Berta padając na kolana, zaklinam cię na wszystko co masz najdroższego na ziemi, niech krew niewinnego nie cięży na sumieniu twojem... Valentino był zawsze twoim najwierniejszym przyjacielem.

— Więc jeźli pragniesz go ocalić... przyznaj że go kochasz...

— Przyznaję... kocham go... ale świętem, braterskiem uczuciem... jakiem dusza czysta pokochać może duszę siostrzaną, wzniosłą i świętą!... ale on nie wie o tem... nigdy wiedzieć nie chciał.

— A! kochasz go!... kochasz!... i dla ocalenia go śmiesz kłamać!... on wiedzieć o tem nie chciał... a przed chwilą właśnie wyznał mi miłość swoją... wyznał że kocha cię szalenie... Ha! ale wiedz o tem, że go już nigdy, nigdy nie zobaczysz na tej ziemi.

Usłyszawszy straszny ten wyrok, Berta wspięła się na palce jakby pragnąc ulecieć ku niebu, gdzie go spotkać spodziewała się, — z piersi jej wydarł się krzyk boleśny, rozpaczliwy... kolana ugięły się pod nią i padła bez zmysłów na posadzkę.

Przerażony Cipriano, pojął że źle zrozumiała jego słowa. i lękał się czy ją nie zabiło tak gwałtowne wrażenie. Podniósł ją i położył na kanapie, rzucił na twarz kilka kropel zimnej wody, otworzył okno—daremnie, nie odzyskała przytomności.

Zmrok zapadł—w pokoju się ściemniło; smutny widok martwej kobiety przejmował dreszczem. Może już życie jej odbiegło, a jednak taka jeszcze była piękna!...

Cipriano przypatrywał jej się drząc cały... wtem nagle stanęło mu na myśli, że w roku zeszłym w tymże czasie, podczas gdy opuszczona żona oczekiwała na niego daremnie... on stał przy łożu innej umierającej kobiety... Czyż już napisanem było w przeznaczeń księdze, aby miłość jego zawsze tak zgubne pociągała za sobą następstwa?...

Dręczony ostremi wyrzutami sumienia, stał jak odurzony nie wiedząc co począć — nareszcie nieruchomość Berty ocuciła go z bezwładności... zrozumiał że tu trzeba natychmiastowej pomocy doktora, a nie chciał zawezwać Valentina. Ale skądże wziąść innego lekarza w tej pustyni i o tej godzinie... A mógłże ją tak zostawić?...

— A! za jaką bądź cenę muszę ją ratować! zawołał.

Otworzył drzwi, pociągnął gwałtownie za sznur od dzwonka, gdy weszła garderobiana, rozkazał jej czuwać przy hrabinie, a sam pobiegł do Franciszka, aby go wysłać jak najśpieszniej po doktora Gabrielli.

XX.

Valentino był w domu. Od ostatniego widzenia się z Cipriano prawie nie opuszczał swego gabinetu, przesiadując w nim długie godziny pogrążony w odmęcie bolesnych rozmyślań.

Dowiedziawszy się o zaszłym wypadku, choć sam bardzo cierpiący, nie wahał się ani chwili pośpieszyć na ratunek hrabiny, zgodnie z wezwaniem przyjaciela. Zażył dużą dawkę digitalis, dla uspokojenia chwilowo gwałtownego bicia serca, i co prędzej pobiegł do villi. Cipriano oczekiwał na niego z niewypowiedzianym niepokojem, i zaraz zaprowadził do pokoju żony, która dotąd nie odzyskała przytomności.

Z pomocą hrabiego i garderobianej, doktór położył hrabinę horyzontalnie na sofie, rozpiął stanik, podawał do wąchania i oddychania trzeźwiące krople, i starał się przywrócić krążenie krwi przez odpowiednie frykcye.

Berta nareszcie powoli otworzyła oczy; zobaczywszy Valentina uśmiechnęła się słodko — może myślała że złączyła się z nim w lepszym świecie. Zdawała się szczęśliwa że spotykają się znowu, aby unieść się wspólnie w nieznane przestrzenie nieskończoności. Wtem spostrzegła Cipriana i twarz jej przybrała wyraz niewysłowionego przestrachu; spojrzała do koła, poznała swój pokój i przypomniała sobie wszystko. Instynktownym ruchem poprawiła nieład ubrania.

Cipriano wpatrywał się w nią bacznie i pomyślał sobie że może za nadto się pośpieszył z przyzwaniem Valentina. I rzeczywiście zaledwie na zawsze oddalił przyjaciela, zmuszony był zawezwać go co prędzej, aby powierzyć jego staraniom ukochaną kobietę i prosić aby powrócił ją do życia. Sądząc że jest już uleczona z chwilowego cierpienia, myślał jakim sposobem pozbyć się doktora, jak tylko starania jego nie będą niezbędne, podczas gdy jednocześnie milczący i zamyślony Valentino, trzymając palce na pulsie Berty badał symptomata objawiającej się choroby, i wypytywał chorą o jej cierpienia.

Po najtroskliwszem wyexaminowaniu, kazał służącej rozebrać hrabinę i położyć do łóżka—i zaraz dać mu znać o tem,—poczem razem z Cipriano wyszedł z pokoju.

Gdy już byli sami, rzekł:

— Hrabina ma gwałtowną gorączkę... zdaje mi się że rozwinie się zapalenie mózgu .. nie mogę jeszcze oznaczyć przebiegu choroby, ale nie ulega wątpliwości że jest ciężka i niebezpieczna... Zapewnie wywołało chorobę gwałtowne jakieś wstrząśnienie... powiedz mi szczerze, co było tego powodem.

Cipriano opowiedział całe zajście po swojemu, to jest z pominięciem najdrażliwszych szczegółów. Dał doktorowi do zrozumienia że zemdlenie Berty było następstwem jego wyrzutów i zagrożenia że będzie zmuszony ją opuścić, jeźli koniecznie uprze się pozostać w villi.

Valentino odpowiedział marszcząc brwi.

— Napadłeś na nią zapewnie z zwykłą sobie gwałtownością—nie dając czasu do namysłu.

— Przysięgam ci że powiedziałem tylko kilka słów...

— Słowa zabijają niekiedy! przerwał Valentino... Długa samotność, gorycz i cierpienia zatruwające jej życie, wyrobiły w niej nadzwyczajną drażliwość nerwów, już z natury bardzo delikatnych. Ta kobieta jest jakby harmonijna harfa, której strony są nader czułe... to mimoza zamykająca się za najlżejszem dotknięciem. Teraz postaraj się, sprowadź innego doktora—ja się usuwam.

— Rozumiem cię, Valentino... ale obawiam się że może ty jeden tylko możesz ją uleczyć... Darmo, przedewszystkiem trzeba ją ocalić za jaką bądź cenę... powinienem pochylić głowę przed wyrokami przeznaczenia... Nie opuszczaj Berty!... nie możesz odmówić ratować jej... Zostań, Valentino, błagam cię... zaklinam!... ratuj ją!...

— Zrobię co tylko w mocy mojej... daj Boże abym mógł zwalczyć chorobę!... tak delikatne natury obdarzone są wyjątkowym organizmem, którego tajemniczość wymyka się przed wzrokiem najbystrzejszego lekarza... lada silniejszy powiew łamie je i niszczy... Jednak nie zaniedbam wszelkich możliwych środków, a jeźli zdołam ją ocalić, będzie to najwyższym wysiłkiem mojej wiedzy...

— I serca twego, — dodał z westchnieniem Cipriano.

Doktór mówił dalej:

— Trzeba dzień i noc nieprzestannie czuwać przy chorej, sama garderobiana nie podoła temu, nie wytrzymałaby takiego znużenia, a tem samem i nie odpowiedziała zadaniu. Trzeba koniecznie postarać się o drugą dozorczynię.

Hrabia kazał przywołać Franciszka i zapytał go czy nie zna we wsi jakiej poczciwej i sumiennej dziewczyny, któraby się podjęła czuwać przy łożu ciężko chorej hrabiny.

— Jeźliby pan hrabia nie miał nic przeciw temu, zdaje mi się że Fiorina umiałaby temu odpowiedzieć.

Valentino spojrzał na ogrodnika z zadziwieniem, własnym nie wierząc uszom.

— Zapominasz, rzekł, że Fiorina nadużyła zaufania swej pani, naraziła życie pana i została wypędzona z pałacu, za występną swoją lekkomyślność.

— Prawda, panie doktorze... ale tak trudno znaleźć uczciwą dziewczynę.

— A więc Fiorinę uważasz za uczciwą?

— Jest uczciwszą od wielu innych, mających tylko pozór uczciwości. Fiorina została uwiedzioną przez nikczemnika... tak dawno już cierpi i pokutuje za to... i pracuje wytrwale, choć poszedłszy do służby, mogłaby mieć lżejsze życie...

— Kochasz ją zawsze, a więc zapewnie bacznie śledzisz jej postępowanie .. Skoro ty jej przebaczyłeś, i ja nie chcę być surowszym i zezwalam na jej powrót do pałacu, rzekł hrabia.

— Ale, panie hrabio, przez uszanowanie dla państwa, Fiorina powinna módz wejść do pałacu z podniesionem czołem, nie jako porzucona zbałamucona dziewczyna, ale jako przyszła moja żona.

— Brawo, Franciszku, rzekł doktór, Fiorina odpokutowała za winę swoją szczerym żalem i łzami, zasługuje więc na przebaczenie twoje; sama przecierpiała wiele, potrafi więc łepiej od innych czuwać i doglądać cierpiącej.

— Idź więc przyprowadź ją, Franciszku, rzekł hrabia.

Franciszek pobiegł prędko do chaty Moniki, zawiadomić Fiorinę o chorobie hrabiny i o zezwoleniu hrabiego aby powróciła do pałacu.

Fiorina zmartwiła się wiadomością o chorobie hrabiny, ale z drugiej strony cieszyło ją że może wrócić do pałacu, gdyż było to zawsze najgorętszem jej życzeniem.

— Jednakże hrabia kładzie jeden nieodwołalny warunek, dodał Franciszek.

— Jaki? zapytała niespokojnie.

— Aby uczciwy człowiek nadał ci swoje nazwisko.

— Ależ to warunek niemożebny dla mnie do spełnienia, rzekł blednąc.

— Czemu? czy nie chcesz oddać mi swej ręki i zostać moją żoną?...

(d. n.)

Opis do N-ru 10.

(*Dokończenie*),

N 15. Suknia z bawetowym stanikiem.

Ubranie wieczorowe odpowiednie dla młodej osoby, odrobione z białego tiulu i indyjskiego muślinu w deseń mille-fleurs przybrane różowemi kwiatami i kokardami z atłasowej wstążki. Spódnica niesięgająca ziemi garnirowana na przemian tiulowem plisowaniem i skośnemi deseniowemi falbankami. Fałdowana tiulowa draperja na przednim brycie przysłonięta do połowy muślinowemi częściami panier, z tyłu sukni upięte dwa bryty muślinowe Stanik muślinowy, z przodu ścięty bawetowo i ozdobiony plastronem marszczonym z różowego atłasu, z baskiną fałdowaną z tyłu; krótkie rękawy ozdobione kokardami.

N. 16. Suknia princesse podpięta a panier.

Zniszczoną lub opatrzoną już suknię princesse można odświeżyć i odnowić przerabiając podług ryc. 16. Przemarszczone à panier. Przednie bryty sukni przedłużają się stopniowo z boków i łączą z trenem; bufowanie z przodu i z boków dane z atłasu. Stanik i rękawy przybrane atłasem.

N. 17. Suknia z długim stanikiem i ubieraną spódnicą.

Skromna lecz gustowna suknia przedstawiona na ryc. 17 składa się ze spódnicy z jedwabnego repsu oliwkowo zielonego koloru i ze stanika aksamitnego tegoż koloru, zapiętego na guziki, z tyłu przedłużonego zafałdowaną baskiną. Tylne bryty sukni stanowiące tren pozostają zupełnie gładkie, przód i kliny boczne są u dołu zakończone plisowaniem i 15 cent. szerokiemi falbanami, wyżej zaś są płasko zaplisowane, nad falbanami ozdobione szeroką aksamitną plisą, a u góry dopełnione krzyżującemi się częściami [illegible]. Żabot koronkowy.

N. 20 i 40. Serwetka ozdobiona wyszyciem i kratką. Deseń wyszycia Fig. 63 na arkuszu z krojami.

Liczy 40 cent. długości a 28 centym. szerokości tła z cienkiego płótna, ze szlakiem z kratki ażurowej z wyciąganych nitek, wiązanej podług ryc. 40; w około brzegów przydziergana jest frendzla 3 cent. szeroka. Środek tła zajmuje humorystyczna figurka, przedstawiająca gnoma dźwigającego olbrzymia gruszkę, wyszyta czarnym jedwabiem lub kolorową bawełną ściegiem sznureczkowym.

N, 21 — 22. Paletocik dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu N. III Fig. 13—19.

Odrobiony z białego materyału, w desenik pikowy z wierzchu a od spodu z włosem. Krój podają Fig. 13—19; szerokość zbywająca przy boczkach i plecach zakłada się od e—f w płasko załamaną fałdę, zachodzącą pod spód. Dla niewidocznego zapięcia podszywa się przy prawej połowie od spodu listewkę z dziurkami 7 cent szeroką, do której odpowiednie guziczki przyszyte są do lewej połowy, z wierzchu zaś kokardy z wstążki służą niby do wiązania paletocika. Dla lepszego naśladowania wiązania materyał z wierzchu jest przecinany w odpowiednich miejscach na 3 cent. wzdłuż i 4 cent. szeroka wstążka przewlekana jest od spodu.

N. 23. Napierśnik zakończony koronką irlandzką. Krój na arkuszu. N-r. XIV, Fig. 56.

Jak to widać na Fig. 56 koronka robiona jest okrągława, odpowiednio do formy napierśnika, który jest z białej deseniowej piki, ostębnowany z brzegów wązką batystową listewką.

N. 24. Napierśnik zdobny nicianą koronką. Krój na arkuszu N-r. XV, Fig. 57.

Uszyty z dymki w drobny desenik, na perkalowej podszewce i przybrany podług ryc. 24 nicianą koronką 3 cent. szeroką z wąziutkim brzeżkiem.

N. 25 Sukienka flanelowa formą princesse. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 20—23.

Odpowiednia pod ubranie zwierzchnie dla małego dziecka, szyje się z flaneli białej, dzierga u dołu i zdobi szlakiem z kolorowego jedwabiu lub z kolorowej flaneli ze szlakiem wyszytym cieniem jaśniejszym lub ciemniejszym. Łatwy krój podają Fig 20 — 22 długość i szerokość dopełnić trzeba podług miar wskazanych. Snkienka otwarta z tyłu związuje się na tasiemki.

N. 26. Sukieneczka spodnia z fałdowanym stanikiem.

Szyje się z prostego kawałka flaneli lub barchanu, długości odpowiedniej do wzrostu dziecka w jednym ciągu na staniczek i spódniczkę. W staniczku z przodu i z tyłu podług ryc. 26 zaszyte są zakładki nadające sztywność a kształt gorsecika; na wcięciu w pasie przystębnowany jest skos 2—3 cent. szeroki. Sukieneczka ta była z białej flaneli, ozdobiona szlakiem z niebieskiej flanelki 3 cent. szerokim, odzierganym w ząbk i wyszytym włóczką lub jedwabiem.

N.27—28. Koszulki dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. XI—XII, Fig. 51—54.

Maleńkie te koszulki otwarte z tyłu w całej długości odszyte są z cienkiego płótna nowego, lub przenoszonej bielizny. Mocna koronka niciana lub langetki dziergane stanowią przyozdobienie; łatwość odszycia czyni opis zbytecznym przy załączonym kroju.

N. 30. Majteczki dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 55.

Przedstawione na ryc. 30 majteczki zastępujące pieluszki, krają się podług Fig. 55 z flaneli lub barchanu złożonego środkiem skośnie. Brzegi od dwukropka do gwiazdki i od krzyżyka do punkta podszyte są przystębnowaną od spodu listewką perkalową, 4 cent. szeroką, u dołu zaś od punkta do dwukropka wycięte są w ząbki objęte listewką. Brzeg górny wszyty w pasek $3^1/_2$ cent. szeroki 59 długi, z tyłu na 40 wzdłuż urządzony do ściągania, z przodu spięty na guziczki. Zapięcie takiej pieluszki w formę majteczek wskazuje ryc. 30.

N. 31—32. Serwetki dla dzieci Deseń wyszycia patrz Fig. 30—31. k.

Serwetki odpowiednie do zawiązania przy jedzeniu liczą po 39 cent. długości a 35 szerokości u dołu zakończoną szlakiem tkanym jak kanwa, ozdobionem wyszyciem krzyżykowem kolorową bawełną lub wyszyciem łańcuszkowem, ściegiem luźnym i t. p. podług Fig. 30—31k dających desenie krzyżykowe lub na ścieg inny. Wykrój szyi 14 cent. szeroki a 5 głęboki opatrzony jest tasiemkami do wiązania.

N. 33—57. Powijak szydełkowy.

Robi się z niekręconej bawełny N. 6 i liczy 12 cent. w szerz a 160 na długość i jeden koniec ma zakończony śpiczasto; brzegi obrobione są w około jednym rzędem o; śc. i rzędem pikotów, podług ryc. 57 podającej próbkę roboty w naturalnej wielkości. Końce do wiązania 48 i 14 cent. długie.

N. 34 — 37. Ubranie do chrztu, kolebka i kosz na bieliznę dla dziecka. Deseń na arkuszu N X, Fig. 48—50b.

Bardzo strojna sukienka do chrztu z przodu leży gładko formą princesse, plecy zaś są sfałdowane i wszyte w karczek, marszczona koronka stanowi krótkie rękawki. Fig. 48A i 48B, oznaczone linją przecinającą na złożeniu formy podają połowę przodu w całej długości i deseń naszycia gipiurowej wszywki, przydzierganej z brzegów z pod której następnie tło wycina się. Na Fig. 48A deseń odznaczony podwójną linją wskazującą szerokość wszywki. a na Fig. 48B pojedyńczą linją odznaczony jest środek wszywki. U dołu sukienki wszywka dana jest dwa razy nad koronką a z boków wszyta raz wzdłuż przodu. Boczek dopełnia się podług wskazanych miar długości i szerokości na Fig. 49; rozmiar pleców podany na maleńkim formacie Fig. 50b. Koronka 6 cent. szeroka i pukle z wstążki dopełniają przybrania sukienki z batystu lub muślinu. Poduszka obszyta taką jak suknia koronką.

Ryc. 35 przedstawia wspaniałą kołyskę z trzciny biało lakierowanej ozdobnie złoconą, przysłoniętą kotarą, zarzuconą zwykłym sposobem. to jest suto zmarszczoną u góry, z tyłu zszytą w całej długości a z boków urządzoną do ściągania lub związywaną kokardami. Model był z nowego rodzaju gazy „gazo etaminé“ w której na-



N. 1. Ubranie z vêtement paletotowem. Patrz model kroju na rycinie 27.

N. 2. Ubranie z tuniką spódniczkową. Patrz ryc. 11 w N-rze 12, zmniejszony model kroju ryc. 28.

N. 3. Ubranie z białego muślinu lub batystu do pierwszej komunii.

przemian szły pasy 4 centym. szerokie z kanwy de congrés i deseniowe oddzielone kratką ażurową; podwleczenie kolorowe. Rycina 37 załącza próbkę materyału i deseń wyszycia kordonkiem niebieskim, oliwkowym i różowym.

N. 45—46. Pudełko na chusteczki batystowe.

Składa się z dwóch kwadratów tektórowych po 17 cent długich, złączonych bufą atłasową. Kwadrat stanowiący dno jest z obydwóch stron powleczony atłasem kolorowym, podłożonym pachnącą watą, przykrycie zaś tylko od środka jest powleczone atłasem; skos atłasowy 10 cent. szeroki a 134 długi, stanowi bufę u dołu drobno przemarszczoną i wszytą między brzegi atłasu pokrywającego denko, u góry zaś obrąbioną i ściągniętą na sznureczek. Kwadrat stanowiący wieczko przypina się na guziczki; na środku ozdobiony jest kwadracikiem atłasowym przemarszczonym w pasy, otoczonym szlaczkiem haftowanym na suknie; część deseniu i narożnik ryc. 45 podaje w naturalnej wielkości. Riusza z podwójnego atłasu otacza brzegi.

N. 50--52. Poduszka do kanapy. Haft na materyale desoniowym aplikowany na czarnym atłasie.

Przeszłego roku podawaliśmy wzory rozmaitych aplikacyi z kretonów w których gust i barwy stanowiły cały efekt roboty, dziś zaś na ryc. 50 podajemy oryginalne zastosowanie prostego bawełnianego materyału w deseń turecki (jak chustki na głowę noszone przez wiejskie kobiety) jako tło pod haft aplikowany na atłasie czarnym, stanowiącym pokrycie poduszki do kanapy. Chustki takie całe wyszyte jedwabiami służyć mogą jako kapy lub serwety a nawet stanowić przyozdobienie płaszczyków do powozu lub jako zarzutka do wejścia na wieczór, jak na ryc. 7 i 8 w N. 9. Na ryc. 61—52 daliśmy w naturalnej wielkości dwie części deseniu z dokładnem wskazaniem wyszycia jedwabiem, dającem się zastosować i przy innej tego rodzaju robocie. Materyał wybrany do aplikacyi podkleja się z lewej strony angielską bibułką, starannie wycina i umieszcza na tle podług deseniu, utwierdzając brzegi ściegami wskazanemi na ryc. 51. Pod atłas po skończeniu aplikacyi daje się mocną podszewkę. Skończoną poduszkę otacza z brzegów sznur jedwabny u góry przewiązany w gruby podłużny węzeł, za który można podnosić poduszkę; przy górnych rogach dane kwasty.

N. 53. Sukienka princesse dla panienki lat 11 do 13.

Odrobiona z niebieskiego wełnianego materjału, zapina się z boku a środkiem przodu ma wszyty przemarszczony plastron. Plecy ścięte u doła w zęby liczą 82 cent. długości i dopełnione są oddzielną częścią 48 cent. długą a 92 szeroką u góry sfałdowaną i wszytą w pasek 21 cent. długi przyczepiony do podszewki. U dołu sukni falbana 16 centym. szeroka, a z przodu i z boków dane po nad nią 11 centym. szerokie fałdowanie. Wypustki, pliski i patki wyszyte krzyżykami dane z materyi jedwabne



N. 4. Połowa deseniu do haftu na fotel lub poduszkę. Cały model w zmniejszeniu na ryc. 22 w N-rze 12.

N. 54—55 i ryc. 65. **Suknia** wizytowa ze stanikiem z baskiną.

Gładki stanik z przodu i z tyłu ścięty w ząb, ozdobiony jest rodzajem plastronu złożonego w fałdy 1 centym. szerokie przemarszczonego w drobne bufki n a wcięciu stanu a z brzegów naszytego pasmanterją 4 cent. szeroką. Ryc. 55 wskazuje przybranie spódnicy, zakończonej u dołu plisowaniem 10 cent. szerokiem, nad które dane drobno przemarszczone bufowanie z nagłówkami 6 cent szerokiemi. Tren podpięty jest za pomocą tasiemek po 34 cent. długich, przyszytych od spodu, z boko zaś zdobny kokardą ze skosu materyi 19 cent. szerokiego. Przód i boki przysłonięte draperją przemarszczoną środkiem nakształt panier, naszytą wspaniałą frendzlą 12 cent. szeroką. Rękawy można przybrać podług ryc. 54 lub 65; suknia ta była z czarnego jedwabnego repsu. Pod szyją zamiast kokardy przypięta gałązka róży.



N. 5. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 6—8.



N. 7. Blat do stołu, malowanie na drzewie.



N. 6. Ubranie złożone ze spódniczki i stanika paletocikowego, dla dziewczynki lat 6—8.



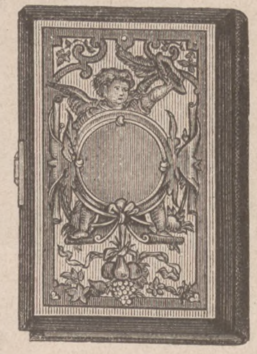
N. 16. Ubranie z podpinaną tuniką. Patrz przód na ryc. 17, model kroju na ryc. 18.



N. 8. Książeczka do notatek z okładką malowaną na drzewie. Patrz strona spodnia na rycinie 9.



N. 10. Suknia ze stanikiem z baskiną i draperyą na spódnicy.



N. 9. Książeczka do notatek. Malowanie na drzewie. Patrz zwierzchnia strona na ryc. 8.



N. 11. Plecy do ryc. 21.



N. 12. Przód r. 41 N. 12.



N. 17. Ubranie z podpinaną tuniką. Przód na rycinie 16.

N. 61. Chusteczka z szalowemi końcami. Krój na arkuszu Nr VI, Fig. 25.

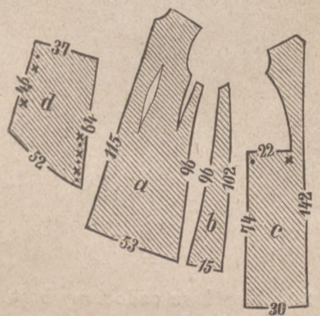
Gładki tiul i koronka 4 cent. szeroka, użyte na chusteczkę są żółtawego koloru. Wykroiwszy chusteczkę podług Fig. 25 zakłada ją się z przodu na oznaczone fałdy, przykryte zupełnie garnirunkiem z koronki. Z brzegów na przyszyciu plisowanej koronki dany wązki haftowany szlaczek. Szalowe końce przyrzucone w węzeł; pod szyją związana wązka wstążeczka.

N. 62. Chusteczka tiulowa. Krój na arkuszu N. V, Fig. 24.

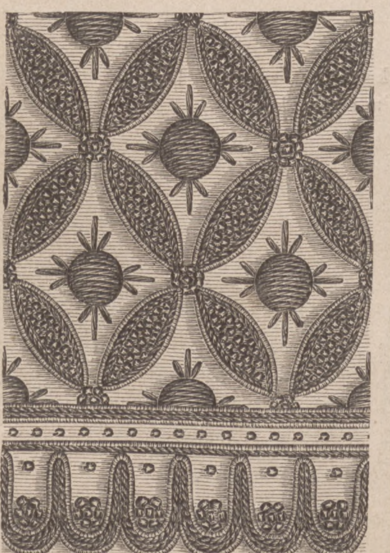
Tiul d'esprit i także koronka stanowią materyał na chusteczkę formą pelerynki, której końce są przemarszczone dwa razy w odstępie 3 cent. na długość 10 cent. Część kołnierzykową stanowi skos 15 cent. szeroki przymarszczony do 4 cent. który łączy się za pomocą wązkiego paska z wykrojem szyi i odwija na chusteczkę. Oszycie koronką dane podług ryc. 62.

N. 66. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

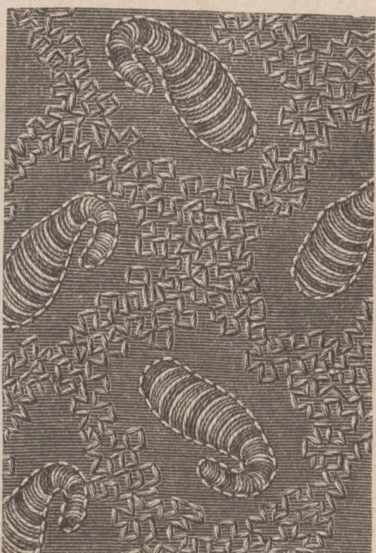
Odrobiona z jedwabnego repsu zielononawo niebieskiego koloru i takiegoż atłasu naśladuje na dobrze dopasowanej podszewce stanik



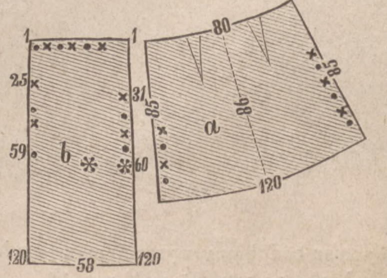
N. 13. Wskazanie kroju do ryc. 41 w N. 12.



N. 14. Deseń haftu na vêtement do r. 12 i 41 w N. 12.



N. 12. Haft w guście tureckim do rycin 12 i 41 w N-rze 12.



N. 18. Krój tuniki do rycin 16 i 17.

bluzkowy i gorsecik. Bufeczki na bluzce i rękawach przemarszczane z repsu, naszyte na gładkiej podszewce stanika sięgają tylko do gorsecika atłasowego, zakończonego wypustką. Rękawy także bufowane repsowe z takiemże plisowaniem i atłasowemi wykładami. Tylne trenowe bryty sukni spadają gładko, atłasowe panier są suto bardzo fałdowane i szyte sznelową frendzlą. Przód i boki dochodzące do trenu,



N. 19. Chusteczka z indyjskiego muślinu i koronki ozdobionej kolorowem wyszyciem.

przemarszczane są z repsu a u dołu zakończone plisowaniem.

Opis do N-ru 11.

N. 1 i 27. Ubranie spacerowe z długiem paletotowem vêtement.

Do ciemnej atłasowej w koło fałdowanej spódnicy, długie vêtement odrobione było z pluszu takiegoż koloru, na podszewce atłasowej, która widoczna jest na wywinięciach. Rycina 27 daje mały model i miary vêtement,



N. 21. Suknia strojna z vêtement. Patrz plecy na rycinie 11. N. 22. Ubranie balowe.

którego plecy zakładają się do spodu w potrójną fałdę. Kapelusz z ciemno zielonego aksamitu i atłasu ubrany sutą riuszą i szerokiemi szarfami z kremowego tiulu d'esprit. Mufka odpowiednia kapeluszowi.

N. 2 i 28 oraz ryc. 11 w N-rze 12 **Ubranie** z tuniką spódniczkową.

Model odrobiony był z jasno



N. 20. Chusteczka z koronki wywodzonej nitką złotą.

piaskowego gładkiego i złotawym jedwabiem przerabianego materyału. Spódnica niedotykająca ziemi, oszyta falbaną 20 cent. szeroką układana w kontrafałdy. Spódniczkowa tunika mająca 220 cent. dolnego obwodu, ma przez środek przodu dany pas 22 cent. szeroki z deseniowego materyału, a u dołu takież obłożenie 35 cent. szerokie; boki przy zeszyciu z tylnym brytem są przyfałdowane, dół oszyty frendzlą 12 centymetrów szeroką.

(d. c. n).



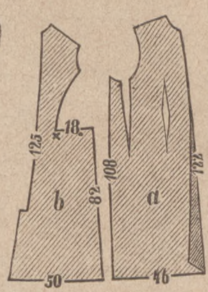
N. 29. Kapelusz ozdobiony wyszyciem z perełek. Patrz główka na ryc. 25 w N-rze 12.



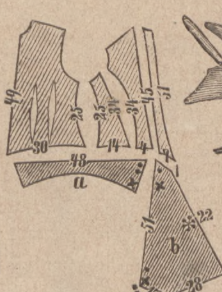
N. 23 i 24. Dwie długie mitenki.

N. 25. Kreza ozdobiona wyszyciem kolorowem.

N. 26. Krawatka kremowa ozdobiona haftem tureckim i koronką.



N. 27. Wskazanie kroju do ryc. 1.



N. 28. Wskazanie kroju do ryc. 11 w N-rze 12.



N. 30. Kapelusz ozdobiony haftem tamborkowym. Patrz przód i deseń na ryc. 23 i 24 w N-rze 12.